Cena 10 zł

ŚWIETLICA KRAKOWSKA

dwutygodnik

Nr 1 | Kraków, 1 stycznia 1947 r. | Rok III



P. Veronese: „Hołd Trzech Króli".

Plan trzyletni — plan sytości

CO DAJE PLAN TRZYLETNI KLASIE ROBOTNICZEJ?

Największym osiągnięciem rządu jest szczegółowe opracowanie gospodarczego planu trzyletniego, który zmierza do podniesienia stopy życiowej robotników, pracowników, i inteligencji nie tylko ponad jej obecny, spowodowany przez wojnę i jej następstwa, nader niski poziom, wynoszący około 30 proc. przedwojennego, lecz **znacznie powyżej poziomu z r. 1939.**

Plan trzyletni przewiduje przede wszystkim **wzrost produkcji konsumpcyjnej.** I tak przewiduje się osiągnięcia w r. 1949: 4 razy więcej pszenicy, 3 razy więcej cukru, 2 razy więcej ziemniaków, 6 razy więcej trzody chlewnej, niż w roku 1945. Jeśli na głowę ludności będzie się mleka konsumować jeszcze znacznie mniej niż przed wojną (0.7), to mięsa wieprzowego dwa razy tyle, co przed wojną, tłuszczu wieprzowego prawie dwa razy więcej, jaj i drobiu dwa razy więcej, a ryb morskich, około 6 razy więcej.

Ogółem przeciętna konsumpcja żywnościowa na głowę wynosić będzie 3.950 kalorii, wobec 3.700 kalorii przed wojną. Czyli: **Trudności aprowizacyjne,** związane z obecnym okresem **zupełnie znikną.**

Produkcja artykułów pierwszej potrzeby, osiągnie również, lub przekroczy poziom przedwojenny. Tkanin bawełnianych będziemy w r. 1949 produkować tyle, co przed wojną, tkanin wełnianych 1 1/2 razy więcej, skóry 60 proc. ilości przedwojennej, skóry miękkiej prawie tyle, co przed wojną i papierosów blisko dwa razy więcej. **Wzrost produkcji artykułów pierwszej potrzeby i wzrost artykułów aprowizacyjnych oznacza wzrost stopy życiowej klasy robotniczej i ogromne zwiększenie realnej wartości płacy robotniczej.** Przy tym plan przewiduje rozwój handlowego aparatu państwowego i spółdzielczego, co tym samym oczyści nasze życie gospodarcze od spekulacji i innego szkodliwego pośrednictwa, będącego obecnie zmorą naszego życia gospodarczego, rodziny zaś robotniczej w szczególności.

Dzięki realizacji planu **wzrośnie też stan zatrudnienia o 30 proc.** w porównaniu z rokiem 1945. Jedynie w miastach zatrudni się ponad milion ludzi obecnie nieprodukcyjnych, których utrzymanie w taki, czy inny sposób spada na barki ludzi pracujących, a w pierwszym rzędzie na barki robotnika.

Obok wzrostu aprowizacji, zaopatrzenia w artykuły pierwszej potrzeby i wzrostu zatrudnienia, realizacja planu trzyletniego **przyniesie rozwój wczasów, usług kulturalnych, opieki zdrowotnej i szkolnictwa ogólnego i zawodowego, co w efekcie da obok materialnego podniesienia stopy życiowej robotnika, podniesienie jego życia kulturalnego.**

CO DAJE PLAN TRZYLETNI CHŁOPOM?

Największą bolączką wsi polskiej przed wojną było przeludnienie, szacowane na 5—9 milionów ludzi. Obecnie, choć nastąpił spadek tej cyfry, przeludnienie na ziemiach Polski centralnej, wynosi jeszcze około 3 milionów ludzi.

Plan trzyletni przewiduje spadek przeludnienia w roku 1949 do około 1/2 miliona ludzi. Stanie się to dzięki przeniesieniu się rodzin chłopskich z Polski centralnej na Ziemie Odzyskane, lub dzięki zatrudnieniu chłopów w przemyśle. Przewidziano, iż rozrastający się przemysł wchłonie nie tylko naturalny przyrost wsi, lecz nadto przyjmie jeszcze 300 tys. ludzi.

Całkowita likwidacja odłogów nastąpi na ziemiach dawnych w r. 1948, na Ziemiach Odzyskanych w r. 1949.

Odbudowa zniszczonych zagród na terenach przyczółkowych i na Ziemiach Odzyskanych poczyni wielkie postępy. Na ogólną sumę zniszczonych gospodarstw wynoszącą 280.000 na ziemiach dawnych i 270.000 na Ziemiach Odzyskanych, plan przewiduje pomoc państwa dla 150.000 gospodarstw w Polsce centralnej i 187.000 na Ziemiach Odzyskanych.

Wzrost siły pociągowej opierać się będzie o 2.310.000 sztuk koni (co wynosi 73 proc. ilości przedwojennej). oraz 15.00 traktorów w r. 1949. Pogłowie bydła rogatego wyniesie jeszcze w roku 1949 tylko 58 proc. liczby przedwojennej, ale pogłowie trzody chlewnej 107 proc.

Użycie nawozów sztucznych będzie wynosiło w 1949 r. 900.000 ton t. j. 152 proc. zużycia w r. 1938.

Produkcja maszyn rolniczych wyniesie w 1949 r. 238 proc. produkcji przedwojennej.

Elektryfikacja wsi poczyni wielki postęp. W ciągu 20-lecia przed wojną między 1918. a 1939 r. zelektryfikowano w Polsce 450 wsi. W 1946 r. — 370 wsi, a plan przewiduje na 1947 rok — 450 wsi, na rok 1948 600, na rok zaś 1949 do 1000 wsi polskich.

Uprawa roślin przemysłowych oraz gospodarka hodowlana dozna poparcia państwa dzięki odpowiedniej polityce cen. Plan przewiduje duży wzrost udziału gospodarstw wiejskich w uprawie buraków cukrowych, który z 40 proc. w roku 1938, wzrośnie w r. 1949 do 85 proc.

Akcja scaleniowa wedle planu obejmie obszar 500 tys. ha na ogólny obszar 3.000.000 ha przewidziany do scalenia.

Szkoły rolnicze — rozwiną się wydatnie dzięki pomocy państwa, mając na uwadze podniesienie kultury rolnej kraju. Liczba uczniów szkół rolniczych wzrośnie w r. 1949 do 41.000, co wynosi 482 proc. liczby szkół rolniczych w r. 1938.

Ogólny wskaźnik produkcji rolnej w porównaniu z r. 1938 wyniesie w r. 1949 — 80, na głowę ludności zaś 110.

Plan trzyletni — plan sytości, który przyniesie poprawę stopy życiowej ludności pracującej w mieście i chłopu na wsi, **jest planem realnym,** opartym o doświadczenia pierwszych lat po wojnie. Przy opracowaniu tego planu opierał się Centralny Urząd Planowania **na tzw. planach odcinkowych,** których dotychczasowe wykonanie jest gwarantem realności trzyletniego planu. Nie tylko bowiem wykonywano plany odcinkowe w poszczególnych gałęziach przemysłu w 100 proc., ale na ogół przekraczano miesięczne plany produkcji. Na przykład w przemyśle węglowym w kwietniu 1946 wykonano plan w 118 proc., w przemyśle cynkowym w lipcu 1946 107,3—121,7 proc., w przemyśle hutniczym w czerwcu 1946 110—118 proc., w przemyśle włókienniczym we wrześniu tego roku 119,5 proc. planu.

W rolnictwie nie tylko, że osiągnięto przewidzianą produkcję na rok 1946, ale na terenach Ziem Odzyskanych osadzono 1.400.000 osadników, wobec czego przewidziana na rok 1949 liczba 2.300.000 jest liczbą realną.

Dalszą gwarancją wykonania w ramach przewidzianych planu jest **udział w tym planie Ziem Odzyskanych,** których szeroko rozwinięty przemysł zapewnia przekształcenie Polski z kraju rolniczo-przemysłowego na przemysłowo-rolniczy.

Najważniejszym jednakże miernikiem wartości planu jest to, iż plan ten będzie realizowany przez

rząd, będący reprezentantem mas pracujących — przez rząd ludowy. Przeprowadzenie podstawowych reform społecznych, jak reforma rolna i upaństwowienie przemysłu, położyło kres chaotycznej gospodarce kapitalistycznej a stworzyło podwaliny pod gospodarkę ludową, której zasadniczą cechą jest planowość.

I dlatego, że lud polski nie zechce już nigdy powrócić do gospodarki kapitalistyczno-obszarniczej i rządów kliki — głosować będzie za blokiem demokratycznych stronnictw, twórców nowego ładu w Polsce, którego program gospodarczy podany jest w logicznym, realnym trzyletnim planie sytości.

L. P.

Grzechy p. Mikołajczyka w przeszłości

„Nie ma zatem we włościaństwie polskim chęci do pogłębienia istniejących antagonizmów politycznych i społecznych, do dzielenia narodu na dwa wrogie obozy, do poddania się komendzie żywiołów radykalnych. Samodzielność stronnictwa włościańskiego oznacza z natury rzeczy umiarkowanie społeczne i wierność zasadzie demokracji czyli zasadzie zachowawczej".

Kto to tak chwalił stronnictwo p. Mikołajczyka przed wojną? To endecki „Kurier Warszawski". Stało się to po storpedowaniu przez p. Mikołajczyka projektu zawarcia sojuszu robotniczo-chłopskiego, podniesionego 17 stycznia 1937 r. na kongresie SL.

Pan Mikołajczyk dobrze przysłużył się sprawie obszarniczej. Czytelnik, któremu się o tym pisze, pragnąłby wiedzieć jakieś konkretne szczegóły historii zdrady chłopów przez p. Mikołajczyka.

Zacznijmy od początku.

Zaczął swą karierę polityczną 23-letni Stasio od przebywania w gronie endeckich kolegów w Wielkopolsce. „Narodowa" atmosfera odpowiadała mu wówczas. Ale przyszłemu prezesowi nie chodziło o samo wyżycie się, jego ambicje szły dalej. Widział za wielką konkurencję w ruchu „narodowym" obszarniczych i fabrykanckich synków. Przerzucił się więc rychło na robotę „ludową". To przerzucenie było jednak nieszczere. Pomiędzy ówczesnymi magnatami finansowymi a p. Mikołajczykiem istnieje ścisły kontakt. Za poparciem Związku Ziemian (!) p. Mikołajczyk zostaje prezesem Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych, finansowanego przez kartele, a m. in. także otrzymało to Towarzystwo w latach 1927—32 22.000 zł. od Przemysłu Cukrowniczego, w którym rej wodził obecny szef NSZ — Broniewski.

Toteż p. Mikołajczyk popiera idee karteli. W 1934 r. przez swój organ lansuje projekt stworzenia kartelu młynarskiego. Następnie Mikołajczyk umie się odwdzięczyć także Związkowi Ziemian, od którego otrzymał 110 tysięcy subwencji. Mianowicie celem stworzenia projektu oddłużenia rolnictwa powołał on komisję, do której weszło 3 obszarników na czele z p. Turno, prezesem Związku Ziemian — i ani jeden chłop. Wyglądało też to oddłużenie, pożal się Boże...

Ale usługi dla obszarnictwa nie kończyły się na tym. Właściwa i zasadnicza zdrada zaczyna się tam, gdy p. Mikołajczyk głosuje przeciwko reformie rolnej bez odszkodowań i żąda podniesienia górnej granicy wywłaszczenia do 180 ha.

Nic więc dziwnego, że po śmierci Sikorskiego reakcja londyńska postawiła na takiego „ludowca". Jego rządom patronowali znów pp. Turnowie, tak jak dziś w kraju szef NSZ — Broniewski, który wszak przed wojną finansował rozbijackie poczynania p. Mikołajczyka.

O tym musi wiedzieć każdy szczery demokrata. Słowa p. Mikołajczyka muszą się wydać czczymi frazesami, jeśli zważymy ciężar gatunkowy jego przestępstw przeciwko ludowi.

Kto by w wyborach głosował na listę nr. 1 pana Mikołajczyka, musiałby się zarazem pogodzić z myślą powrotu tych czasów, kiedy lud był batożony politycznie, moralnie i fizycznie przez panów.

Władysław Machejek

DZIAŁ LITERACKI

WITOLD ZECHENTER

Bądź szczęśliwa...

Był czas ponurej grozy, grozy wojny straszliwej. Mijały lata czarne i żałobne i coraz więcej mogił rosło po cmentarzach i coraz więcej mogił, olbrzymich, zbiorowych mogił rosło w obozach, w których wrogowie zabijali torturą i pracą. Były rodziny, z których co raz to ktoś ubywał, by nigdy więcej do domu nie powrócić.

Tak też było w rodzinie malutkiej Rysi. Zmniejszała się i zmniejszała i coraz więcej tragedii widniało w oczach jej matki, aż pewnego dnia zostały tylko we dwie: ona i matka. Musiały uciekać, chronić się u obcych ludzi, ukrywać się w jakichś zakamarkach i malutka Rysia czuła, że każdej chwili grozi jej matce to niepowrotne — zabiorą ją i nigdy więcej jej nie ujrzy.

Żyły ostatnio w mieście, w którym nigdy przedtem Rysia nie była, całymi dniami nie wychodząc z ukrytego pokoiku pod strychem, aż przyszedł dzień okropny, w którym słychać było od rana strzały i krzyki, rozkazy i szydercze śmiechy w znienawidzonym języku wrogów. Matka wybiegała kilka razy i wracała, widać było, że nie wie, co zrobić, naradzała się szeptem z przerażonymi ludźmi — aż wreszcie wzięła wszystkie sukienki Rysi i jej starą laleczkę i powiedziała:

— Chodź, córeczko...

Matka Rysi wiedziała, że nie ujdzie z życiem z obławy, którą rozciągnięto na całe miasto. Wtedy wszystko się wyda — i jej dokumenty sfałszowane i brak pozwolenia na mieszkanie w tym mieście i to, że się ukrywa i to, z jakiej pochodzi rodziny. I wiedziała, że jest zgubiona — i wraz z nią zginie jej ukochane dziecko. Miała w tym mieście przyjaciół, którzy byli w tym szczęśliwym położeniu, że nic im nie groziło bezpośrednio — postanowiła u nich dziecko zostawić, a sama chciała jeszcze ratować się ucieczką, która w tych warunkach z dzieckiem byłaby już niemożliwa i skazywałaby obie na pewną śmierć z rąk czarnych siepaczy.

Rysia znalazła się raptem u obcych sobie osób. Onieśmielona, przestraszona, zasapana po szybkim biegu przez kręte ulice czuła, jak matka ściska ją i tuli, słyszała jej niezrozumiałe słowa błogosławieństw — i oto nagle matka zniknęła. Rysia została sama u obcych.

Minęło kilka lat i wreszcie zwyciężyła sprawiedliwość. Na znużoną zbrodnią ziemię spłynął cichy pokój, wystygała krew rozlana tak obficie przez tyle lat, na grobach zieleniły się smukłe krzewy i pachniały kwiaty. Po strasznych przejściach, cudem ocalona z tysięcznych niebezpieczeństw śmiertelnych, wracała matka Rysi do kraju, który oddychał upragnioną wolnością. Schorowana, wynędzniała, w zupełnej nędzy dowlokła się matka do kraju, korzystając z przypadkowej uczynności obcych ludzi — a potem, gdy już była w kraju, z pomocy jakichś związków i instytucji. Wracała bowiem zdaleka, z piekła obozów, z otchłani niewoli — ale jakoś przetrzymała wszystko, myśląc tylko o swoim dziecku. Co się dzieje z malutką jej córeczką?

Malutką już nie jest — już jest dziewczynką, bo przecież lata całe dzielą ją od chwili, gdy ostatni raz obejmowały ją ramiona matki.

— Czy mnie pozna? — myślała biedna matka. — Po tylu latach... Czy dobrze jej było u obcych? Czy i im nie stało się co złego?

Trapiona tymi myślami i ogromną

tęsknotą za dzieckiem, pokonywała matka wszelkie przeszkody i nie zważając na osłabienie, głód, konieczną potrzebę wypoczynku — przedostawała się do swego miasteczka, w którym pozostawiła córkę.

Nareszcie znalazła się w nim i prosto z dworca, gdzie dojechała pociągiem za darmowym biletem, jako osoba wracająca z niewoli niemieckiej, biegła prawie, nie szła, lecz prawie biegła na ulicę, którą szła ostatni raz przed laty tłumiąc łzy rozpaczy po pożegnaniu dziecka. Oto ta ulica — oto ten dom. schody, piętro...

Prawie omdlała pod tymi drzwiami, ostatkiem sił zapukała. Po chwili otwarła jej jakaś zupełnie obca osoba.

— Nie — odrzekła, patrząc ze zdziwieniem na wynędzniałą kobietę — osoby, o które pani zapytuje, dawno już nie mieszkają tutaj

— Gdzie przeprowadzili się — czy pani wie? — jęknęła matka.

— Do Krakowa, jeszcze podczas okupacji, kilka lat temu. Obecnie — jak dowiedziałam się przypadkiem — świetnie się im powodzi, mają wielkie przedsiębiorstwo handlowe...

— Do Krakowa — szepnęła matka.

Osoba obca wyniosła jej pożywienie, sądząc, że jakąś żebraczkę ma przed sobą. Matka skorzystała z posiłku, odpoczęła trochę i dziękując na odchodnym zapytała jeszcze:

— Czy oni... nie wie pani... mają... może dziecko?

Obca osoba odrzekła:

— Tak. przetrwali wszyscy szczęśliwie całą wojnę, on i jego żona, ich córeczka i dalsza rodzina — podobno wszyscy razem mieszkają w Krakowie...

Długa droga była do Krakowa, ale matka pokonała i te trudności. Jakże dodało jej siły to powiedzenie obcej osoby: przetrwali wszyscy szczęśliwie... i córeczka... Tak! to jej córeczka, do której idzie, do której dąży przez tyle lat okrutnej męki Pokona jeszcze trudy podróży i przyciśnie dziecko do serca. Zacznie razem z nią nowe życie — jakże szczęśliwe!

Wreszcie znalazła się matka w Krakowie Nie trudno było jej dowiedzieć się o właścicielа wielkiego przedsiębiorstwa handlowego, nazwisko to było znane, wskazali adres. Znalazła się przed wielkim domem błyszczącym w słońcu i weszła do wytwornej, chłodnej sieni.

Każdy schód na drugie piętro był wysiłkiem, był męką, ale matka czuła, że zbliża ją do ukochanego dziecka. Szła, wspinała się na zimne schody, pełzałaby na klęczkach, gdyby sił jej całkiem zabrakło — aż stanęła przed drzwiami. na których widniało znane jej nazwisko.

— Jacy to dobrzy ludzie! Jacy szlachetni! — myślała oddychając głęboko, chcąc choć trochę odpocząć, zanim naciśnie dzwonek przy drzwiach. — Przez całą wojnę, przez takie straszne lata zgrozy i nieszczęść przetrzymali moje dziecko i oto będę je teraz mogła odebrać sobie...

I nagle...

Nagle zza drzwi usłyszała śmiech — to śmiech jej dziecka! Ten głos srebrzysty poznałaby w tysiącach innych głosów, chociaż taki zmieniony — taki dorosły głos, który wtedy, przed laty, był cichutkim, srebrnym dzwoneczkiem... Głos jej córki!

Śmieje się z czegoś, przekomarza...

— Nie, proszę pani—mówi jej córka za drzwiami srebrzystym głosikiem — nie trzeba płaszczyka... świeci słoneczno...

— Ależ, Zosieńko — odpowiada głos kobiecy — mamusia gniewałaby się, gdyby się dowiedziała, że wyszłaś dzisiaj bez płaszczyka, niedawno byłaś zaziębiona, musisz uważać, wiesz przecież, jak tatuś denerwuje się, gdy kaszlesz!

Zosieńka? Mamusia? Tatuś?

Czyżby się pomyliła?

O, nie! To głos Rysi... ale zmienili jej imię... Ona nazywa ich mamusią i tatusiem... Tak, nie mieli dzieci, ale bardzo dzieci kochali — z pewnością pokochali i małą Rysię i po tylu latach sądzą, że matka jej nie żyje, że nie przetrzymała piekła obozów. udręk, głodu i chorób — po prostu przyjęli dziecko za swoje... Przenieśli się do innego miasta, wszyscy uważają, że Rysia jest ich córką, Zosieńką...

Z rozmowy o płaszczyku i zaziębieniu wynika, że jej jest bardzo dobrze — jacy o nią są troskliwi... jak prawdziwi rodzice...

I nagle drzwi się otwarły i stanęła w nich śliczna dziewczynka... Rysia!

Ten widok był tak wstrząsający dla nieszczęsnej matki, że nie zdołała zawołać tego najsłodszego imienia, tylko głuchy jakiś jęk wyrwał się z jej ust.

Dziewczynka, ubrana w piękny płaszczyk, z olbrzymią kokardą w lśniących włoskach, patrzyła na nią, troszkę jakby przestraszona — promienny uśmiech znikł z różowej twarzyczki.

— Proszę pani — rzekła do osoby, która stała za nią — tu jest jakaś biedna.

— Czekaj, Zosieńko — rzekła nauczycielka czy bona, odsuwając dziewczynkę. Spojrzała na matkę, otwarła torebkę i wyjęła papierek. — Proszę — rzekła wciskając do drżącej ręki matki pomięty pieniądz.

Dziewczynka patrzyła na żebraczkę ze współczuciem, ale żadne inne uczucie nie malowało się w jej promiennych oczkach, zasmuconych teraz widokiem ludzkiej nędzy.

Gdy nauczycielka rzekła:

— Daj mi rączkę, Zosieńko...

Podała jej rączkę i zeszły szybko ze schodów. Nie oglądnęła się już.

A matka stała pod zatrzaśniętymi drzwiami z pieniądzem papierowym w ręce.

— Nie poznała mnie...

Osunęła się na schody i zaczęła porządkować myśli i wrażenia, tak wstrząśnięte przebiegiem wydarzeń. Nic dziwnego, że nie poznała. Tyle lat... Rysia była wtedy malutka... Z pewnością wszystko już zapomniała — tę nędzę, ten strach, to uciekanie... zapomniała z pewnością o prawdziwej matce...

Jest szczęśliwa. Jej przybrani rodzice są bogaci Ma piękną, spokojną przyszłość przed sobą...

Długo siedziała matka na zimnych schodach, aż wreszcie wstała i nie oglądając się, zaczęła schodzić. Schodziła szybko, jakby uciekała. Tak, uciekała... Bała się, że spotka „ojca" Rysi lub „matkę". Oni naturalnie poznaliby ją — zbyt dobrze żyli wtedy, przed wojną, w przyjaznych wieloletnich stosunkach. Oddaliby jej Rysię, gdyby zażądała... Ale ona nie chce już dziecka.

Do czego wróciłaby ta śliczna dziewczynka, wracając do prawdziwej matki? Nawet gdyby jej przybrani rodzice wyposażyli ją, nawet gdyby pomagali — nie, nie byłoby to to samo, co przebywanie jako rodzona córka w dostatnim domu dobrych ludzi. I ten wstrząs, że jej matka jest tą nędzną żebraczką... jej matka jest starą, steraną, chorą kobietą, która była już na dnie otchłani.

Nie. Matka nie chce już dziecka. Ucieka, by nie spotkać przyjaciół. Ucieka z tego domu, z tej ulicy, z tego miasta...

— Rysiu, Zosieńko moja — szepcą blade wargi — bądź szczęśliwa!

Zosia nigdy nie dowie się, że miała inną matkę i nigdy nie dowie się, co prawdziwa matka poświęciła dla jej szczęścia, dla jej dobra. Zosia bawi się i uczy, ma koleżanki, ma mnóstwo zabawek i książek i kocha rodziców. Jest bardzo, bardzo szczęśliwa

Nie wie też, że co pewien czas, zmierzchem lub wcześnie rano, widują przechodnie jakąś starą żebracz-

Szczęśliwego

NOWEGO ROKU

życzy swym

Czytelnikom i Współpracownikom

REDAKCJA

„ŚWIETLICY KRAKOWSKIEJ"

kę w okolicy pięknego domu, w którym Zosieńka mieszka. Żebraczka przesuwa się jak cień, patrzy w okna, chce tylko z daleka zobaczyć...

I czasem jej się udaje zobaczyć śliczną dziewczynkę na balkonie wielkiej kamienicy, a raz widziała ją, jak przyjechała dorożką z wysokim panem i pięknie ubraną panią.

Okryta zmierzchem lub poranną mgłą przesuwała się stara żebraczka przez ulicę i wracała potem do innego miasta, do miasteczka, niedaleko leżącego od Krakowa. Tam zmieniała się z żebraczki w ubogą robotnicę fabryczną. I tak widywali przechodnie tę postać — aż przestali widywać.

A z balkonu wielkiego domu, z jego oświetlonych okien na drugim piętrze dolatywał nieraz śmiech lub srebrny śpiew szczęśliwej dziewczynki.

Witold Zechenter

JULIUSZ WIRSKI

Drogi nowej miłości

Ktokolwiek jeździ samochodem z Krakowa do Tarnowa, przeklina tamtejsze drogi, zwłaszcza na odcinku powiatu brzeskiego, bo powiat tarnowski naprawia swoją szosę, choć w tempie tak zwolnionym, że aż irytującym. Lepsze to jednak niż zupełne zaniedbanie naprawy. Ale po pokonaniu tych kilkudziesięciu kilometrów podróżny znajduje się w mieście starym, pięknym i względnie mało zniszczonym, a co najważniejsze — czystym. Nawet na przedmieściach, co już jest najmilszą niespodzianką mieszkańców wielkich miast, nie wyłączając Krakowa, którego przedmieścia toną dosłownie w błocie.

Celem naszego wyjazdu jest „Książęcy Browar" w Tarnowie, który Niemcy doszczętnie zdewastowali, wywożąc prawie ponad 75% maszyn i urządzeń, lub niszcząc to, co się wywieźć nie dało. Stary to browar i sławny, jak i stadnina księcia pana. Założony w 1719 roku, przebudowany i rozbudowywany, zajmuje wielką przestrzeń tuż obok gotyckiego kościoła, zbudowanego już w wieku dwudziestym. Potężnie sklepione chłodnie, gdzie się przechowuje piwo przed rozlaniem do naczyń transportowych, przypominają sklepieniami lochy starych zamków, tylko, że tu wszystko lśni czystą białością. Rezultat zawziętej pracy, która browar dźwiga z upadku. Woda źródlana ze wsi Rzędzin, oddalonej od browaru o 4 kilometry, dawała w swoim czasie wyborne piwo, którego jeden gatunek nazwano „Perłą Tarnowską", gdyż perliło się, jak szampan. W czasie wojny Niemcy podnieśli produkcję piwa w dwójnasób, ale już 8 sierpnia 1944 roku rozpoczęli dewastację zakładów, przerażeni narastającą ofensywą Armii Czerwonej. 18 stycznia 1945 r. wywieźli nieomal wszystkie urządzenia. Zdemolowali kosztowne kompresory, uszkodzili kotły parowe i rozmontowali najniezbędniejsze części maszyn parowych. Wywieźli 35 motorów elektrycznych, powycinali grube dna miedziane z kotłów warzelnych, jednym słowem pozostawili prawie nagie mury, a i to tylko dlatego, że nie zdążyli wysadzić ich w powietrze.

Załoga, rozproszona przez wypadki wojenne, zebrała się szybko po uwolnieniu Tarnowa, choć w zmniejszonym komplecie. Stanisław Marek, pierwszy prezes Rady Zakładowej, dziś już nieżyjący, stanął do odbudowy. Robotnicy zachowali kopie listów przewozowych i numery wagonów i rozpoczęli zawzięte poszukiwania wywiezionych maszyn i urządzeń. Kilka miesięcy trwała ta pogoń po nowych drogach miłości za częściami rozczłonkowanej fabryki. Cieszyli się jak dzieci na widok tłoku maszyny parowej, części dna miedzianego, kompresora, czy motoru elektrycznego. Zbierali gdzieś na pograniczu Prus dębowe klepki olbrzymich, bezcennych kadzi do przemagazynowywania piwa. Poznawali ze wzruszeniem własne pasy transmisyjne, koła napędowe, aparaturę do chłodzenia i pożyczonymi samochodami, za pożyczone pieniądze, bez pensji, bez niczyjej pomocy, zwozili członki okaleczałego zakładu, który postanowili wskrzesić z martwych już nie na zysk i chwałę księcia pana, ale na pożytek społeczeństwa i własny. Jedną z maszyn, młyn do przecierania słodu, Niemcy, po wybiciu muru, spuścili z wysokości 4 pięter, gnąc i łamiąc części. Ranną maszynę zostawili, uważając, że zdatna jest tylko na łom. Mieli już wówczas dość łomu w miażdżonych przez naloty miastach Trzeciej Rzeszy. Robotnicy, jakby konsylium lekarskie, długo chodzili koło młyna, długo prostowali pogięte części, własnym, cierpliwym przemysłem przywracali maszynie życie. Ale trzeba ją było po tej najczulszej kuracji wywindować z powrotem na ostatnie piętro. Przez schody nie dało się — za wąskie. Rozpoczęli windowanie przy pomocy środków prymitywnych, a przemyślnych, jak miłość wiernego człowieka. Kilka razy łamało się rusztowanie, kilka razy zrywały się liny. Klęli wtedy Niemców brzydko, po polsku i po rusku, do dziesiątego pokolenia i do siódmego potu, w którym pracowali. Wreszcie młyn, cały z żelaza i stali, stanął na swoim miejscu. Brak mu tylko wagi samoczynnej, by mógł znowu odważać słód, prześrutowany dla kotłów warzelnych.

Po śmierci Stanisława Marka stanął do pracy nowy prezes Rady Zakładowej, wieloletni ślusarz-mechanik zakładu Franciszek Johan. Nazwisko niemieckie, a serce polskie. Dobrał sobie Stanisława Karnasia, kierownika odbudowy technicznej i razem z załogą, uszczuploną do kilkudziesięciu osób, montują, reperują, mury uszkodzone przez bomby, bielą, malują, odnawiają tę olbrzymią kuchnię zdrowego i taniego napoju, naprawdę demokratycznego.

Zjednoczenie browarnicze pod kierownictwem dyr. Kowalika przyszło im z pomocą materialną. Już trup ożył. Nie produkuje jeszcze piwa, gdyż brak tam jeszcze jakichś wymyślnych maszyn do zupełnego uruchomienia produkcji. Ale mają rozlewnię, szykują słód z jęczmienia dla innych browarów już czynnych, a w lecie wytwarzają przy pomocy pary amoniakalnej, dzięki zmontowanym kompresorom lód sztuczny, który sprzedają na miejscu i wysyłają transportami kolejowymi. Skromnie płatni, utrzymujący się najwyższym wysiłkiem na powierzchni życia nie strudzenie i nieustannie zbliżają się do chwili, kiedy uzbrojona po krokwie w dachu warzelnia zacznie produkować świetne piwo tarnowskie, by znowu o jeszcze jeden stopień podnieść dobrobyt narodu, przez podniesienie produkcji. Zwłaszcza, że niektóre nasze gatunki poszukiwane są na rynkach angielskim i szwedzkim, a lepiej już eksportować piwo, niż szynki w puszkach i bekony.

Nie napisałem o browarze tarnowskim wszystkiego, prezes i kierownik odbudowy pokazywali mi cały zakład i szczegółowo tłumaczyli proces produkcji, jakbym miał zostać conajmniej pomocnikiem majstra. Myślę, że nie pogniewają się na mnie, że tej czysto technicznej sprawy nie uwzględniłem w moim opisie. Chodziło mi o pokazanie człowieka pracy na nowych drogach miłości, na drogach, które prowadzą do bogatego i szczęśliwego społeczeństwa. I dumny jestem, że większość tych ludzi, to członkowie partii, która obok haseł politycznych umiała wysunąć hasło twórczej pracy dla narodu i, co najważniejsze, hasło to potrafiła zamienić w życiem pulsujący czyn.

JERZY BROSZKEWICZ

Klucze do muzyki

Ilekroć przypada mi opracowanie zbyt krótkiej prelekcji na poważny temat doznaję takiego uczucia jakby kazano ubrać mi się w garnitur młodszego i jeszcze niższego brata. Rękawy, poły i kołnierz stają się całkowicie za krótkie a sytuacja kłopotliwa. To samo powtarza się w pisaniu: temat serio przekracza ograniczony czasem lub miejscem rozmiar: rękawy i poły, czyli dowodzenie i argumenty okazują się niewystarczające. A zatem znowu tworzy się kłopot, uczucie niedosytu i — rzecz prosta — niepokoju.

Tym razem powinienem poruszyć sprawę zahaczającą o aż nadto poważną kwestię z dziedziny problematyki kulturalno-pedagogicznej — o sprawę upowszechnienia muzyki. W efekcie oto nowy powód do

niepokoju — sama nazwa, sam termin „upowszechnienie" jest już właściwie przereklamowany, zdewaluowany i nie wyjaśnia istoty rzeczy w sposób należyty.

Dlatego zdecydowałem się zrezygnować z owego terminu a w dalszej konsekwencji postanowiłem również zrezygnować z posługiwania się dowodzeniami i argumentami, opartymi o surowe dyscypliny intelektualne.

Chodzi tu o muzykę. O naukę elementarnych, pełnych prostoty i wdzięku prawd muzycznych, które są pierwszym stopniem wtajemniczenia w wyższe i najwyższe piękna tej sztuki. Wiadomo, że najtrudniejszy jest pierwszy krok, jest on zarazem krokiem najważniejszym. Sądzę n. p. że jednym z zasadniczych momentów życia Szekspira była chwila, w której nauczył się stawiać pierwsze litery. Mógł to być nawet większy trud niż napisanie Hamleta. Powróćmy jednak do tematu. — Jak powiedziałem chodzi tu o pierwsze stopnie wtajemniczenia — o naukę osobistego uczestniczenia w muzyce.

Swego czasu odbyła się w naszej krytyce dyskusja nad najbardziej wartościowym sposobem przeżywania dzieła sztuki. Padły dwa terminy. Pierwszy z nich to przeżycie estetyczne — określający zewnętrzne zbliżanie się do dzieła sztuki przez poznanie i uczestniczenie w jego rozwoju. Termin drugi to przeżycie artystyczne — w tym wypadku dzieło sztuki prowokuje czytelnika, widza lub słuchacza do wytworzenia własnej wizji twórczej.

Nie będę tu przeprowadzał wyboru ani dyskusji nad ową polemiką, pragnę podkreślić co innego — otóż teoretycy obu sposobów przeżywania sztuki zgadzają się na jedno — wszędzie obowiązuje jakaś aktywność, jakieś wewnętrzne działanie. Widz, czytelnik lub słuchacz patrząc na obraz, czytając poezję lub słuchając muzyki musi przeżywać aktywnie proces spółtwórczy lub twórczy. Oto zasada — współdziałanie — i od tej zasady nie da się odstąpić o ile ma się dojrzeć wartość i piękno jakiejkolwiek sztuki.

Rzecz prosta to samo da się powiedzieć w sprawie muzyki. Jeśli bowiem jest nie do pomyślenia, by można było przeżyć piękno ballady chopinowskiej w trakcie rozkoszowania się smacznym obiadem, tak samo nie da się go pojąć bez osobistego uczestniczenia w jej muzycznej myśli, w jej konstrukcji i akcji.

Ostatnie zdanie może się wydać sprawą trudną i skomplikowaną. Uczestniczenie w konstrukcji czy w akcji muzycznego utworu? To brzmi „groźnie".

Jednak w istocie trudności są tu wyłącznie pozorne. Każdy człowiek potrafi im już po pewnym minimalnym nawet przygotowaniu sprostać bez specjalnego kłopotu. Potrzebna jest tylko pewna praktyka i — jak zawsze — dobre chęci.

Jestem na tyle optymistą, że zakładam istnienie tych dobrych chęci i odrazu przystępuję do sprawy zasadniczej a bardzo w istocie prostej. Jeszcze na moment wróćmy do Szekspira. Chodzi bowiem o to, że aby napisać Hamleta trzeba umieć pisać w ogóle. Ten fakt nie ulega wątpliwości i oto cała tajemnica.

Cóż w naszym wypadku będzie nauką pisania? Odpowiedź prosta — nauka muzykowania. Instrument potrzebny ku temu nosi 95% ludzi przy sobie — w swoim gardle. Tak — śpiew jest dyscypliną muzyczną dostępną każdemu. Nie musi być on artystyczny, specjalnie piękny czy efektowny. Może być nawet tylko wewnętrzny. Jednak musi być świadomy swego muzycznego celu. Kto śpiewa najpiękniejszą nawet melodię, bez żadnego wewnętrznego napięcia, temu zamknięte będą bramy od królestwa muzycznego. Ponieważ każda najsłabsza nawet piosenka ma swój sens, swoją linię i nastrój, o które trzeba w wykonaniu dbać. A zatem tym sensom i nastrojom powinno odpowiadać wewnętrzne przeżycie wykonawcy, które jest pierwszą gwarancją zbliżenia się do dzieła sztuki.

Aby te drobne zasady pojąć, należy je nie tylko zrozumieć, ale i trzeba wypraktykować ich wartość. Naturalnie trudno każdemu uczyć się śpiewu lub gry na jakimś instrumencie. Jednak istnieje rodzaj muzykowania dostępny — jak się mawia — najszerszym rzeszom społeczeństwa. Jest to śpiew chóralny.

Do śpiewu w chórze nie trzeba właściwie nawet przygotowania, dobrego głosu, czy specjalnych talentów. Wystarczy jeden zdolny kierownik na kilkudziesięciu chętnych chórzystów. Pomijam już fakt osobistej przyjemności, satysfakcji itd. itd., związanych ze śpiewaniem w zespole. Ale praktyka muzyczna w chórze uczy o świecie głębokich przeżyć wewnętrznych.

Chórów w Polsce zawsze było zbyt mało. A czas wojny i tu dokonał swego. Jeśli chodzi o mój punkt widzenia, to ilekroć słyszę o upowszechnieniu muzyki, tylekroć odpowiadam: rozpowszechniać chóry. Zaczyna to już być nudne dla mnie samego. Ale mimo owej nudy nie zmienię zdania — chóry są potrzebne, niezbędne, konieczne.

I dlatego fakt wypuszczenia przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne wielu zeszytów poświęconych łatwej muzyce chóralnej uważam za bardzo ważne zdarzenie. Owe zeszyty zawierają wiele pieśni ludowych opracowanych przez wybitnych polskich kompozytorów. Przepracowując pod odpowiednim kierownictwem utwory tak proste i łatwe da się zdobyć pierwsze wtajemniczenie, pełne prostoty i piękna prawdy muzycznej. Te piosenki są nie tylko zgrabnymi opracowaniami oryginalnych melodii ludowych — lecz użyję teraz przenośni może pretensjonalnej ale istotnej, kluczami do świata przeżyć i wzruszeń wewnętrznych.

Pozostaje mi do wyjaśnienia jeszcze jedno.

Otóż mówiąc o chórach — o praktykowaniu i uczeniu się muzyki zespołami, wcale nie miałem na myśli grup, które by rozpoczynały pracę z ambicją na temat produkcji występów, koncertów itp. Właśnie inaczej. Zbliżenie ze sztuką musi być sprawą bezinteresowną. Ambicje można tu usunąc na najdalszy plan. Zgodźmy się na to, że chodzi nam o przeżycie wewnętrzne, i zbliżenie do sztuki. Radzę uwierzyć mi na słowo — w tym wypadku warto być bezinteresownym Po prostu we własnym interesie. Dobry kontakt z dobrą sztuką może czasem dać więcej satysfakcji niż najudatniejsza tranzakcja. Tyle, że tego kontaktu trzeba się nauczyć.

A zatem każda świetlica, dom kultury, świetlica szkolna — oto miejsca w których powinny powstać chóry. Niech będą to zespoły bez wysokich pretensji i ambicyj o poklask a dbałe o naukę sztuki. Polskie Wydawnictwo Muzyczne wydając zeszyty poświęcone literaturze chóralnej, ofiarowuje dobre klucze do niej. Trzeba tylko zechcieć otworzyć właściwe drzwi. Nie jest to sprawa skomplikowana ani trudna. Wystarczy śpiewać.

Jerzy Broszkiewicz

Z nadesłanych wydawnictw muzycznych

Wydawnictwo Muzyczne Arcta w Warszawie, Nowy Świat Nr. 35 wydało **Szkołę na skrzypce część I. prof. Jarzębskiego**, samo nazwisko pierwszorzędnego pedagoga, który wykształcił tylu skrzypków wirtuozów daje rękojmię, że szkoła w całej pełni sprosta swoim zadaniom i wyruguje ze szkół muzycznych dotąd używane niemieckie Hohmany.

Wydawnictwo Muzyczne Gieszczykiewicz w Krakowie ul. św. Jana Nr. 2. wydało **Skarbczyk Harmonisty Józefa Powroźniaka**, jest to album melodii swojskich i obcych na akordeon. Łatwy układ z przeważnie podłożonymi tekstami uzupełni luki w repertuarze harmonisty.

Wydawnictwo Akord w Katowicach ul. Gliwicka 24 wydrukowało na orkiestrę salonową „Od Bronowic" krakowiaka, piękne melodie krakowskie, przystępne opracowanie i możność zastosowania utworu w mniejszym i większym zespole zapewnia mu powodzenie.

Wydawnictwo „Polska Nuta" w Krakowie ul. Grodzka 65 opublikowało w opracowaniu Jerzego Estego „Pozdrowienie z Krakowa" a) na orkiestrę salonową, b) na orkiestrę dętą. Jest to wiązanka popularnych krakowiaków. Opracowania są łatwe i przystępne również dla zespołów amatorskich. Wydanie drukiem krakowiaków tychże na orkiestrę dętą (skład 20 instrumentów) jest bardzo szczęśliwe, bo orkiestry dęte najbardziej odczuwają brak polskiego repertuaru, który przez wiele wydawnictw muzycznych jest niedoceniany.

Powyższe wydawnictwo wydało następujące utwory: „Ta joj" — bukiecik Polek, „Hulaj braci fajno" — Wiązanka marszowa, „Życie artysty" — walc **J. Straussa** i **Wyjątki z op. Halka St. Moniuszki.**

Józef Swatoń

JERZY LOVELL

WIERSZE

Od wojny ku tobie

Schylę głowę w twoje dłonie,
w brązowe światło —
na oczy złóż mi promień,
pięć palców.

Przerosłem czołem śmierć i wojnę,
czoło białe i smutne —
od lęku dni idących broń mię
ty, uśmiech.

Niosącemu krzyk i milczenie,
u ust zawieś śpiew i miłość —
pięść pełną zemsty w hostię przemień,
natchnij pokorną siłą.

— Schylę wieczór w twoje dłonie,
pójdziemy: niebo i łąki.
Na oczy złóż mi promień,
słońce.

Żołnierz

Nachyl matko siwe włosy
nad wnucząt kołyską —
śpiewaj „luli-luli" małym bosym
różowym szyszkom.

Ty ojcze słońce wsadź w fajkę
i pykaj siwym obłokiem —
obmyślaj wnukom bajki — nie-bajki
o kraju szczęśliwym, wielkim, szerokim.

A i ty bracie, mój młody bracie,
wesołym gwizdem konie poganiaj —
kończ szybko zagon i idź do chaty,
noc ciebie czeka białym posłaniem.

— Ja tu karabin oprę o sosnę,
za sosną jest granica —
Z palcem na spuście w zieleń wrosnę
słuchając, jak wasza szumi pszenica.

Kobiety u wody

Gołębica niesie błękit w dzióbku
i składa go w szelest gałązki oliwnej —
nie będzie już wojny jutro
i nie będzie krzywdy.

— Kobiety głowy nachylą przy studni,
wieczorne niebo kołysząc w wiadrach.
Pogwarzą, że kiedyś wieczór łuną dudnił,
niejedna gwiazda jęcząc spadła.

Że kiedyś noc na sinych wargach cichła,
umarłym księżyc otwierał szklane oczy —
a świt był jak czerwony wystrzał,
milionom pierś ołowiem broczył.

Tak będą gwarzyć kobiety u wody,
pod niebem spokojnym i wielkim.
Spotkanym dzieciom zakażą wojennych pochodów,
od boków odpaszą drewniane szabelki.

Człowiek

Mieć oczy
tak dobre,
żeby dzieci
mogły w nich zbierać kwitnące uśmiechy —

Mieć słowa tak jasne,
aby konający —
wyciągali ku nim dłonie gasnące —

Mieć serce
tak czyste,
by móc ucałować
usta każdego przechodnia —

Alarm

Śpicie? —
ziemia ucieka wam spod nóg
i nawet niebo jest coraz dalej —
wy śpicie?!!!
Odzieję się w dzwon —
wysoko nad głową zapalę żagiew sumienia —
i pójdę
budzić
sercem.

Taniec chłopski

Byle tylko miejsce znaleźć
dla tańczących nóg,
byle tylko się rozdalić
ruchem w bok, ruchem wprzód —

byle zboża nie zabrakło
w kręgu rąk,
byle rąk nam nie zabrakło,
żeby żąć...

Wtedy
łąki podnosić do ust,
skowronki przygarniać do piersi,
śmiać się — śmiać...

Leśny skon

Jeszcze szept,
puszczyk lecący w niewidome słońce —
(matko?...)
rozbił o promień źrenicę —
spadł —
obok kropla krwi stężała w poziomkę.

Już.

Nie drgnął ani liść —
długo huczała ostatnia salwa:
cisza.

Zima w obrazach Juliana Fałata



Na polowanie.



Zasadzka myśliwska.



Stare mury obronne Krakowa.

Z teatrów krakowskich

TEATR KAMERALNY T. U. R.: „Soczewica koło miele młyn" albo „Miecz Łokietka", komedia Stefana Flukowskiego.

Niedawno rozpoczęty krakowski sezon teatralny stał dotąd — jeżeli chodzi o współczesną polską twórczość dramatyczną — pod znakiem teatru poetyckiego. Widzieliśmy utwory operujące specyficznym klimatem nastroju, dyskrecji, będące raczej dramatem myśli niż czynu, obracające rzeczywistość podszewką do góry ukazując ją od wnętrza, tam, gdzie konflikty się dopiero rodzą, a nie na zewnątrz, gdzie już dojrzewają w określony kształt społeczny. W związku z tym widziane dotąd sztuki cierpiały na ogół na pewną jakby niedokrewność, anemię nie całkiem donoszonego płodu. Zareprezentowana obecnie przez Teatr Kameralny TUR komedia historyczna Stefana Flukowskiego „Soczewica koło miele młyn", mająca za treść historyczne powstanie niemieckich mieszczan krakowskich pod wodzą wójta Alberta przeciw Władysławowi Łokietkowi — posiada na odwrót tych czerwonych ciałek krwi raczej za dużo. Przedstawia ona zupełnie odmienny gatunek: teatr gestu, krzyku, ruchu, miernej, zgiełkliwej perypetii, niestety bez większego umiaru w rozmieszczeniu tych elementów. Komedia Flukowskiego jest raczej widowiskiem, barwną panoramą historyczną o żywych efektach teatralnych, czymś w rodzaju nowego „Kościuszki pod Racławicami". Mamy tam i walkę na miecze i porwanie (na scenie) i zgwałcenie (za sceną) i obłąkaną dziewczynę i czarny charakter (tym razem, na odmianę — rudy), no i poczciwych staropolskich i szczeropolskich opojów, wychylających duszkiem imponujące gąsiory. Niewątpliwie, ambicje Flukowskiego nie ograniczają się tylko do próby stworzenia propagandowo antyniemieckiego widowiska dla mas. Widać w koncepcji autora szczery wysiłek w kierunku artystycznego operowania większymi grupami działających postaci, dążność do wydobycia sensu momentu dziejowego za pomocą przejrzystego określania charakterów (doskonale postawiony Łokietek, a zwłaszcza scena jego rozmowy z Albertem), wreszcie usiłowanie ukazania przedstawianej rzeczywistości niemal wyłącznie w sferze czystego działania bez zbytniego przykręcania subtelnych sprężyn psychologicznych. Ale, niestety, tak — zapewne — pomyślana całość koncepcji rozkleja się wskutek, wspomnianego wyżej, braku umiaru u autora, który nie panuje nad kompozycją przeskakując bez uzasadnienia artystycznego od groteski do melodramatu, od nastrojowości do wulgarnej farsy.

Inscenizacja Chaberskiego nie przyczynia się do złagodzenia tych sprzeczności, raczej je jeszcze pogłębia. Przy starannym opracowaniu tła i troskliwym uwypukleniu realiów (do czego walnie się przyczynia piękna dekoracja Andrzeja Stopki) — nieuzasadnione niczym „unowocześnienia" w rodzaju wielokrotnego „Heil" czy piosenek partyzanckich. Obok wspomnianej już wstrzemięźliwie poprowadzonej, lecz pełnej głębokiego dramatycznego napięcia wielkiej sceny Łokietka z Albertem — jarmarczna groteska scen z niemieckimi dziewczętami. Nie potrafił też inscenizator i reżyser rozwiązać artystycznie kompozycji grup i pogodzić jej ze szczupłością sceny.

Pod względem aktorskim sztuka Flukowskiego — z uwagi na ruchliwość i teatralność jej zewnętrznego oblicza — daje duże pole do popisu dla aktora i sporo wdzięcznych i efektownych ról. Z długiej galerii wymienionych na afiszu postaci nie wszyscy potrafili te atuty należycie wykorzystać. Pierwszorzędną kreację stworzył Józef Karbowski. Jego Władysław Łokietek był opanowany, skupiony, ale pełen wewnętrznego żaru, monarcha, ale zarazem prosty, mądry człowiek. Janusz Ziejewski dzielnie pokonał wszystkie trudności niewdzięcznej roli Niemca Sudermana. Interesująco ujął rolę księcia opolskiego, Bolka — Jan Niwiński. Uroczą była Colonna-Walewska jako Ulisia. Heinrich, opat miechowski w interpretacji Kazimierza Biernackiego, nieco zbyt kabaretowy. Maria Dulęba, jako siostra Alberta, Winifred, była trochę księżną francuską z „Pasażera bez bagażu, trochę arystokratką angielską z „Miasta w dolinie", trochę matroną niemiecką z XIV wieku, a tylko trochę sobą. Dawno niewidziany Władysław Walter wywoływał rzewne wzruszenie w sercach zebranych na widowni przeciwników prohibicji. Dzielnie sekundował mu Filus. Żukowski borykał się mężnie z nieodpowiednią dlań rolą Ketzsera. Reszta — blada.

Dziwaczny tytuł komedii wyjaśnia się na samym końcu. Są to cztery słowa, które musieli wymówić schwytani w czasie uśmierzania buntu, na ulicach Krakowa, przechodnie. Niemcy, którzy naturalnie, nie umieli tych słów wypowiedzieć odpowiednio — ginęli. Gdyby wszystko nieodpowiednie w tej sztuce było tak samo karane — komedia Flukowskiego stałaby się jedną z najkrwawszych tragedyj.

Henryk Runicz

TEATR MIEJSKI IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO: „Wielki człowiek do małych interesów", komedia Aleksandra Fredry.

Teatr Miejski im. Juliusza Słowackiego wprowadził na repertuar komedię Fredry „Wielki człowiek do małych interesów". Wybór nagły i przypadkowy — chodziło o wstawienie nieprzewidzianej pozycji, takiej, którą by można stosunkowo szybko przygotować przy zespole, jaki pozostawał w danym okresie wolny. Dlatego też nie sięgnięto do Fredry wysokiego lotu.

„Wielki człowiek do małych interesów" należy do najsłabszych sztuk naszego genialnego komediopisarza. To nie jest arcydzieło z serii „Zemsty" czy „Pana Jowialskiego", to nawet nie pełna nerwu scenicznego komedia w rodzaju „Dam i huzarów". Sztuka ta jest monotonna, nieraz nawet nudnawa i ktoby chciał od tej strony poznawać Fredrę, nie poznałby autora, którym szczycić się może nie tylko polski, ale europejski teatr.

Oczywiście, i w tej słabej komedii zaznacza się w poszczególnych ujęciach i sytuacjach pazur fredrowski, ale całość jest nad wyraz mdła. Akt w mieszkaniu Dolskiego jest jak gdyby oddzielną jednoaktówką i posiada najwięcej fredrowskiej werwy sytuacyjnej.

Naturalnie, każdą sztukę można bardzo ożywić i zaadoptować dla współczesnego widza i starał się też o to tak wszechstronny człowiek teatru jak Niewiarowicz, który reżyserował komedię. Wszechstronny — i aktor i reżyser i autor sceniczny. Wydaje się nam jednak, że niektóre podejścia reżyserskie, które miały sztukę ożywić, zostały dołatane nie w stylu całości sztuki — jak np. zgoła kabaretowe wejście pisarzów z nosami w księgach i kilka innych.

Poza dwiema rolami kobiecymi — Śląską i Matusiakówną — całą uwagę skupia widz na roli tytułowej „wielkiego człowieka" i na roli jego najbliższej ofiary, Dolskiego. „Wielkiego człowieka" grał niezawodny Ruszkowski, dając wiele doskonałych gierek mimiczno-gestowych, może jednak dał postać za twardą. Natomiast niezwykłą niespodziankę w roli Dolskiego, nie leżącej właściwie w warunkach tego aktora zrobił nam Kaliszewski, tworząc kapitalną postać, pełną finezji, wdzięku, lekkości, naturalności fredrowskiej, humoru — cech, jakich raczej nie spodziewaliśmy się po tym wybitnie zdolnym aktorze, oglądanym dotąd w całkiem innych rolach. Kto uprzytomni sobie taką rozbieżność, jak Kaliszewskiego jako Poetę w „Weselu" i jako Dolskiego w „Wielkim człowieku" — pozna dopiero, jakiej skali i jakich możliwości jest to artysta, nie mający raczej dotąd szczęścia u naszych augurów teatralnej krytyki.

W całości przedstawienie niezłe, ale raczej — niepotrzebne. **w. z.**

INSCENIZACJE TAŃCE i PIOSENKI

ANTONI MARCINEK

SZOPKA WIELKOPOLSKA

Na scenie szopka, w niej żłobek — nad żłobkiem obraz Bożej Rodzicielki. Szopka powinna być zbudowana na wzór chaty wielkopolskiej — do dekoracji użyć świerku i polskich oznak.

Scena 1.

Z lewej na wzniesieniu chór — u jego stóp muzykanci — przy podniesieniu kurtyny na scenie półmrok.

CHÓR ANIOŁÓW: (śpiewa).
Gdy się Chrystus rodzi
I na świat przychodzi,
Ciemna noc w jasnościach
Promienistych brodzi.
(Na scenie jaśnieje)
Aniołowie się radują (bis)
Pod niebiosy wyśpiewują:
Gloria, gloria, gloria in excelsis Deo
(kiedy jeszcze śpiewają powtórkę, z za sceny słychać śpiew rodziny Jana)

Pójdźmy wszyscy do stajenki,
Do Jezusa i Panienki,
Powitajmy Maleńkiego (bis)
I Maryję Matkę Jego.
(na scenę wchodzi cała rodzina Jana; dziad i Marcin mogą też być)

Scena 2.

Ci sami — rodzina Jana

RODZINA JANA (wchodząc)
Witaj dziecineczko w żłobie,
My, wyznamy Boga w Tobie,
Coś się narodził w tej nocy
Byś nas wyrwał z czarta mocy.

WSZYSCY (przed żłobkiem — mówią): Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

JAN: Uklęknijmy i oddajmy cześć i pokłon dziś Narodzonemu Panu...

WSZYSCY (klękają — potem mówią razem): Cześć i pokłon oddajemy Ci, o Jezu... Dziecino mała — Boże Wielki, dziś w nocy Narodzony w w naszym żłobku położony — My znękana niewolą niemiecką i wojną rodzina polska

CHÓR ANIOŁÓW: (śpiewa).
Cześć Ci, o Jezu, cześć i chwała!
Całym sercem cześć!
Dzisiaj oddaje — Polska cała,
Boś Ty Bogiem jest.
— Dziś narodzony, bądź pozdrowiony (bis).
Królu wszech królów, rodzin narodów
— Zbawicielu świata.

WSZYSCY (mówią dalej): A w dowód naszego uznania czci należnej, ofiarujemy Ci, o Panie całą rodzinę naszą: wszystkie myśli poczynienia — strzeż, ochraniaj i prowadź ją, aby cokolwiek czynić będzie przynosiło Tobie chwałę, a Ojczyźnie pożytek.

CHÓR ANIOŁÓW: (śpiewa).
Przyjmij Jezu, przyjmij Panie
Rodzin polskich — oddanie:
Niechaj w łasce Twojej trwają,
Obowiązki wypełniają
Względem Ciebie i Ojczyzny.
(na scenę wchodzi polski chłop, robotnik, inteligent — rodzina Jana wstaje z klęczek).

CHŁOP: Ale tu „narodu", ani przejść nie można. (Rodzina Jana usuwa się w bok — trójka zbliża się do żłobka — na czoło wysuwa się chłop).

Scena 3.

Ci sami — chłop, robotnik, inteligent.

PRZYBYŁA TRÓJKA: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus (pozostali odpowiadają).

CHŁOP (wysunąwszy się naprzód przed żłobek): Z pokłonem zbliżam się do Ciebie... (klęka). Pokłon i pozdrowienie przynoszę Ci, o Boże-Człowieku, w naszym żłobku, w w wielkopolskiej chacie położony— od siebie i całego ludu polskiego dzisiaj wolnego, na swoim zagonie siedzącego; od naszych chat, pól, pracy — trudu, którą wykonuję... (na scenę wchodzą cztery pary wieśniaków w strojach ludowych (wielkopolskich) — wchodzą rzędem — najpierw chłopcy — za nimi dziewczęta — dziewczęta zatrzymują się u wejścia — chłopcy idą dalej w koło sceny).

Scena 4.

Ci sami — pary wieśniacze.

CHŁOPCY (idąc w koło sceny śpiewają):
Rolnik polską ziemię orze,
ziemię orze,
Potem sieje złote zboże,
złote zboże
Na chleb, na chleb.
(idąc w koło, ruchem tanecznym wykonują ruchy podobne do orania — (trzymania pługa — do siania ręką i wreszcie: na bochen chleba i ustawiają się za dziewczętami — z kolei dziewczęta idą w koło, jak przedtem chłopcy i śpiewają):

A wieśniaczki sieją maki,
sieją maki,
Potem sadzą: groch, ziemniaki,
groch, ziemniaki,
Dla nas, dla was.
(Podobnie jak wyżej chłopcy, ruchem tanecznym idąc, wykonują ruchy podobne do siania (ale maku), sadzenia — potem: „dla nas" pokazują siebie: „dla was" pokazują ogół i stają pomiędzy chłopakami — teraz razem stojąc w miejscu śpiewają):

A gdy zboże w plon dojrzewa,
w plon dojrzewa
Kosa i sierp się odzywa:
się odzywa:
(Ukazują kosy i na: szęk, brzęk, szęk, brzęk (wykonują ruchy: chłopcy podobne do koszenia — dziewczęta do zbierania zboża — koszenie można przedłużyć, aby wszystkie pary zdążyły obejść w koło sceny — wracając na miejsce rozpoczęcia śpiewają).

DZIEWCZĘTA, CHŁOPCY (razem).

4

Już w stodołach złote plony,
złote plony
(parami zbliżają się do żłobka — pierwsza para niesie wieniec żniwny, albo snop zboża)
Niechaj będzie pochwalony,
pochwalony
— Bóg, co plon dał.
(Oddają wieniec chłopu, który odebrawszy wieniec mówi):

CHŁOP: (klęknąwszy)... A owoc tej pracy — te kłosy żyta pszenicy; cały plon ofiaruję Ci, o Panie, dziś nam zesłany; wśród nas goszczący, jako najcenniejszy dar ludu polskiego, który dziś cieszy i raduje się przyjściem Twoim.
(Pierwsza para zbliża się do muzykantów — stojąc przed muzykantami — chłopak śpiewa):

PIERWSZY CHŁOPAK (przed muzykantami):
Jasiu do pszeniczki, Jasiu do żyta (bis)
Wczoraj do koszenia,
Wczoraj do moczenia
— Dziś do Jezusa
(Na Jezusa ukłon przed żłobkiem) — pierwsza para tańczy „przodka" — pozostali przyklaskują i śpiewają to samo).

CHŁOPAK PIERWSZEJ PARY (przetańczywszy jedną zwrotkę — stając na środku sceny z ukłonem): Proszę za sobą... (wszystkie pary tańczą w koło, z kolei tworzą wiwatowe kółko i śpiewają:
Wiwat niech żyje! niech żyje Zbawiciel nasz!
Wiwat niech żyje! — wykrzyknijmy wraz.
A kto się upije, tego Jezus wybije (bis).
(Po skończonym wiwacie „bez poczęstunku" — dziewczęta ciągnąc chłopaków, żeby już wychodzili).
Już idźmy, już idźmy — dziecię chce spać.

CHŁOPAKI (zatrzymując je): Jeszcze nie jeszcze nie — będzie się śmiać.

RAZEM (wskazując się nawzajem):
Jak ty — ja: „oba dwa"
Będziemy we dwoje tańcować,
Jak ty — ja: „oba dwa"
Będziemy we dwoje tańcować.
(Dowolnie powtórzyć — pary wypadają. — Teraz robotnik staje przed żłobkiem).

ROBOTNIK (przed Żłobkiem): Wybacz mi, o Mistrzu najdoskonalszy, żem taki nieubrany i z próżną

ręką przyszedł do Ciebie... Ale Ty wiesz, że tu Niemiec był — wróg, co kraj nasz zniszczył — więc nam dziś trzeba: rąbać, kuć, dźwigać; budować Polskę nową o chłodzie nieraz i głodzie — dzień i noc... Tyle czasu jednak musiałem znaleźć, by tu do Twego żłobka przybyć. Czołem uderzyć; gorąco boskie stopy ucałować, od siebie i wszystkich takich jak ja. Bywaj mój Mistrzu!... chowaj się zdrowo w tym żłobku, a niech Ci się dola polskiego robotnika, co dzisiaj współrządzi w kraju i własnym młotem kuje swą szczęśliwą dolę, przyśni... (ustępuje na bok).

(Na scenę wchodzą robotnicy — ilość dowolna — ręce trzymają jakby na ramieniu dźwigali siekierę).

Scena 5.

Ci sami: — robotnicy.

ROBOTNICY (idąc w koło sceny śpiewają):

Robotnicy polscy idą, co cały dzień drzewo rąbią.
(Pokazują rąbanie).
I cegłę i wory dźwigają dzień spory —
(Drepcząc w miejscu pokazują dźwiganie).
Robotnicy, dzielni polscy.
(Klękając wykonują ruchy szewców).
A i polskie szewczyki są, co cały dzień buty szyją;
(pokazują szycie).
Dla syna, dla córy... a z czego? ze skóry —
(uderzają w kolano raz swoje, raz drugiego):
Szewczyki są: buty szyją.
(Pojedyńczo idą w koło sceny — wykonują ruchy kowali).
A i polscy kowale są, co cały dzień dzielnie kują:
(zwracają się do środka — przystają — wykonują ruchy: bicia młotem).
I kują podkowy, i kują okowy —
Kowale są — dzielnie kują (wychodzą).

Scena 6.

Ci sami — inteligent przed Żłobkiem.

INTELIGENT (przed żłobkiem): Widziałeś Panie, prace chłopa, widziałeś prace robotnika i rzemieślnika polskiego, lecz nie widziałeś pracy inteligenta. Co prawda to wstyd mi, że nie mogę Ci jej zobrazować, jak inni to czynili. — Pocieszam się jednak tym, że Ty wiesz, że i ja nie próżnuję. W urzędach moi koledzy ustalają prawa, organizują opiekę, pomoc dla nieszczęśliwych, poszkodowanych; wymierzają sprawiedliwą karę dla przestępców. W biurach czynią wykresy, robią plany, rysunki gmachów — stawianych ręką robotników i rzemieślników polskich. W szpitalach koledzy-lekarze niosą pomoc lekarską wszystkim, co przy swojej pracy padli ofiarą nieszczęśliwego wypadku A w szkołach, koledzy-nauczyciele wiedzę, oświatę, miłość Boga i dla swej demokratycznej Ojczyzny wszczepiają w młode serca polskich pokoleń. O, wielka, zaszczytna jest nasza misja, chociaż wymaga dużo wysiłku, trudu. Od niej, od jej wypełnienia — w większej części i — porozumienia się wzajemnego — Jedności Narodowej zależną jest: wielkość i potęga Narodu Polskiego. Więc dziś, kiedy razem stanęliśmy tu przed Żłobkiem Chrystusowym, by oddać hołd Panu nad Pany, spełnijmy ślubowanie: że razem (podaje rękę jedną chłopu, drugą robotnikowi) pójdziemy przez życie, razem wspólną pisać nową historię Polski, bo wierzymy, że tylko „jednością silni" — zbudujemy Polskę szczęśliwą". Tak nam dopomóż Bóg. (wszyscy): Amen.

Pobłogosław Chryste Panie
Trzech warstw „święte zbratanie",
— Niech wykwita z tej jedności
Gwiazda szczęścia pomyślności:
Wolnej Polskiej Krainie.

(Wszyscy obecni na scenie klękają i mówią):

Niech będzie pochwalony
Jezus Chrystus dziś Narodzony
Tu w tym żłobku położony,
Niech będzie pochwalony,
Teraz i zawsze na wieki wieków. Amen.

(Jeszcze chwilę klęczą — modlą się w cichości — potem spokojnie wychodzą — na scenie ciemnieje).

CHÓR ANIOŁÓW:

Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj,
A Ty go Matulu w płaczu utulaj...
Lulajże Jezuniu lulajże lulaj,
A Ty go Matulu w płaczu utulaj.

(Chór aniołów nuci dalej cichutenko tylko melodię — jeden anioł solo — mówi):

Późno już... dziecino,
— znużone oczęta zmruż:
śpij, śpij spokojnie w tym żłobku,
Nie bój się...
My nie dopuścimy Heroda;
Wnet zapanuje zgoda;
Ślubujemy Dziecinie;
Śpij... śpij... Jezuniu
w Polskiej Krainie.
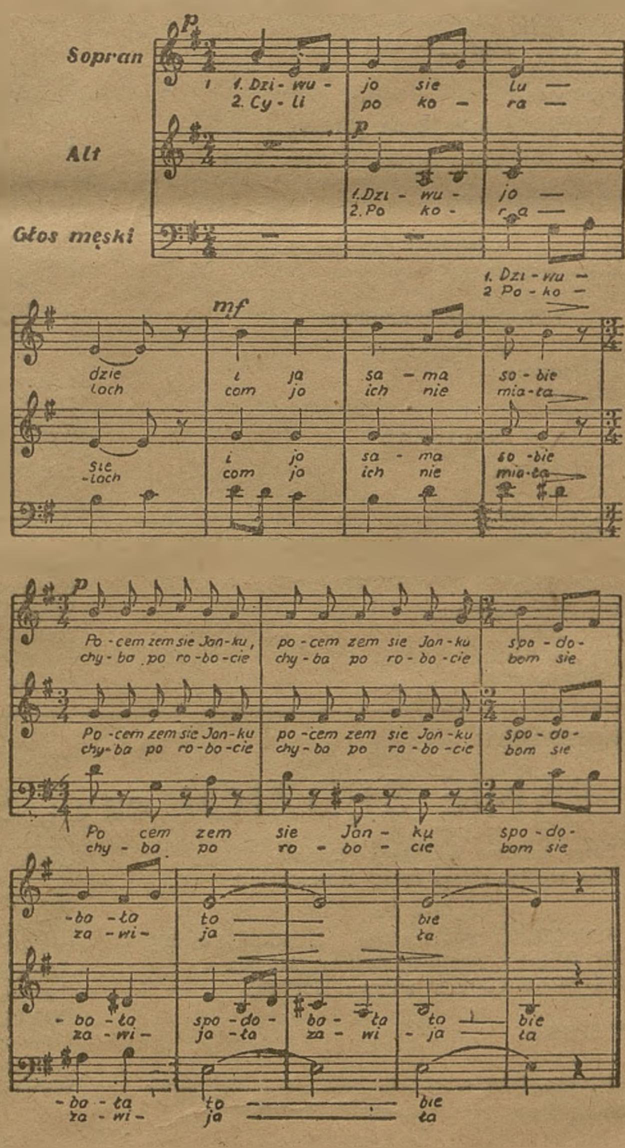
(Na scenie zapada półmrok — kurtyna opada — aniołowie wciąż jeszcze nucą cichuteńko końcową melodię).

Antoni Marcinek

Uwaga: Nuty będą podane w następnym numerze.

Dziwujo sie ludzie

Melodia ludowa — na 3 głosy opracował Henryk Obtułowicz.



TRZEJ KRÓLOWIE IDĄ DO BETLEJEM

Misterium świąteczne z 17 wieku z półn. Francji Przełożył WITOLD ZECHENTER

MELCHIOR

(do dwu królów idących naprzeciw)

Co zmusza was w te strony
wędrować w śnieżny czas?
rzuciliście swe trony!
kto z kraju wygnał was?

Czy może macie wieści
o rzeczach skrytych w mrok?
rozkaz w ich słysząc treści
gdzie kierujecie krok?

KASPER

Na nocnym nieboskłonie
łagodnie gwiazda lśni —
w dalekich barw koronie
powstała w one dni.

W tej tajemniczej nocy
zdala od innych gwiazd,
jak rzekli to prorocy
z dalekich, obcych miast.

BALTAZAR

Jam też ją ujrzał w świcie —
podróżny wziąłem kask
i idę dziś w zachwycie
jej ciepły widząc blask.

I widzę już to święte
Dzieciątko w zimy czas —
usteczka uśmiechnięte
zdają się pytać nas...

(Królowie zasiedli na obrady).

MELCHIOR

W wędrówce tu odpocznę...

KASPER

Tu nie mógł powstać kłam!

MELCHIOR i KASPER

(do Baltazara)

To znaki są widoczne —
ta droga dana nam!

BALTAZAR

Przeczucie, czar nadziei
napełnia serce me —
w oddali tam, w Judei
cud wielki ziści się!

TRZEJ KRÓLOWIE

Więc spieszmy bez wahania,
jak każe jasny znak,
bo chmura już zasłania
niebieskich świateł szlak.

Nim ciemność nie zamieszka
okryta śniegu tłem,
jaśnieje nasza ścieżka
w wyrocznem świetle tem.

CHÓR

Spieszcie przez dalekie lądy
hołd królewski nieść,
powsiadajcie na wielbłądy
w tę wsłuchani wieść.

Cud w Judei się zaczyna —
ziemi dotknął Bóg!
czarodziejska ta nowina
w szczęścia wiedzie próg

Będą pytać was dokoła,
czemu, kto i gdzie?
lecz was gwiazda dalej woła —
szybko! spieszcie się!

TRZEJ KRÓLOWIE

Radość na niebie, radość na ziemi,
że gwiazda ta rozbłyska —
Dziecię duszami rządzi naszemi —
W proch padniem przed Niem zbliska!

(wyruszają w dalszą drogę)

CHÓR

Oto idą królowie, kędy gwiazda blask żenie,
wiozą skarby — każdy z swej krainy —
i wędrują przez puste i samotne przestrzenie,
by je złożyć u żłóbka Dzieciny.
Lecz darem najpiękniejszym jest serce w ich łonie —
by się Bogu spodobać, wielkim ogniem płonie!

Pierwszy z nich oddaje złoto,
kraj i wszelkie dostojeństwa,
wszystko oddaje z ochotą
w rączki Maleństwa.
Lecz darem najpiękniejszym jest serce w ich łonie —
by się Bogu spodobać, wielkim ogniem płonie!

Drugi składa znów kadzidło,
które snuje woń najwięcej,
jak każe stare prawidło,
zwyczaj książęcy.
Lecz darem najpiękniejszym jest serce w ich łonie —
by się Bogu spodobać, wielkim ogniem płonie!

Trzeci mirrę składa w darze
w błyszczącym od złota kubku...
Wszystko składają mocarze
przy niskim żłóbku!
Lecz darem najpiękniejszym jest serce w ich łonie —
by się Bogu spodobać, wielkim ogniem płonie!

LUDWIK SZCZEPAŃSKI

MEE, PANIE SĘDZIO! czyli STRASZNA SPRAWA

Farsa ludowa w jednej odsłonie.
(Na wątku starej farsy francuskiej).

OSOBY:

MATEUSZ FONFERKO, mieszczanin i handlarz (lat 50),
BARTŁOMIEJ DYLĄG pastuch gminny (lat 60),
KATARZYNA WĄSIKOWA, wdowa (lat 45),
SĘDZIA,
ADWOKAT ŁATKA,
WOŹNY.

Scena przedstawia izbę w sądzie pow. w małej mieścinie. Jest jeszcze wczesna godzina. Wozny kończy sprzątanie.

MATEUSZ FONFERKO *(wchodzi)*: Dzień dobry, panie Piskorz. Jak tam zdróweczko?

WOŹNY: Szanowny panie! Cóż się pan tak pospieszył? Rozprawę ma pan o dziewiątej, a ledwo wpół dochodzi.

FONFERKO: Ano, pospieszyłem się, bom sobie tym razem nie wzion adwokata. Poco płacić adwokata, kiedy sprawa pewna i czysta jak szkło?

WOŹNY: Ho, ho, pan bywalec w sądzie, a nie wiesz

pan jeszcze, że niema spraw pewnych? Ale jak pan już taki pewny, to przecie nie pan płaciłbyś koszta, jeno pozwany.

FONFERKO: A wyciągniesz to pan choć grosz od takiego łapserdaka jak ten Bartłomiej, co mam z nim dziś sprawę? Nie dość, że mi zboj zarżnął barana, ale musiałbym jeszcze adwokata płacić! Hunc-wotowi sam potrafię dać nauczkę! — — Ale, ale, kochany panie derechtorze, powiedzno pan, jaki jest ten wasz nowy sędzia?

WOŹNY: Ano, ujdzie, ujdzie! Wyż wymieniony — to grzeczny człowiek. Sprawiedliwy. Ale śpicyfinder. Wszystko bierze na rozum, i siak, i tak, i z tej i z tamtej strony, że się w końcu nikt w sprawie nie wyzna! I powiem panu jeszcze: wyż wymieniony jest trochę ślepy i nie dosłyszy. Trza do niego głośno mówić, ale nie za głośno, bo się obraża, że go za głuchego biorą.

FONFERKO: Dobrze to wiedzieć. Dziękuję panu. Ale czemu go pan wciąż nazywa „wyz wymienionym"?

WOŹNY: Kręcisz się pan po sądach już niejeden rok, a nie wiesz jeszcze, że adwokat abo i sędzia, żeby edukację swoją okazać, zawsze mówią „wyż wymieniony" albo „rzeczony". Takie to prawo w trybunale.

FONFERKO: Jakoś mi to jeszcze nie podpadło. Ano, człek się uczy jeden od drugiego. Jak już wygram sprawę, to pojdziemy, panie derechtorze, na przeciwko na jednego.

WOZNY: Ja ta nie od tego, ale iść będę mógł dopiero, gdy sędzia skończy wszystkie rozprawy. Beze mnie sędzia nie dałby sobie rady. Na mojej głowie wszystko.

(wchodzi Bartłomiej Dyląg).

BARTŁOMIEJ: Niech bedzie pochwalony.

WOŹNY: Na wieki. A czego tu chcecie?

BARTŁOMIEJ: Dyć mam papier do sądu.

WOŹNY: Pokażcie? *(ogląda).* Wyście Bartłomiej Dyląg? Macie sprawę o barana o godzinie dziewiątej. Poczekajcie jeszcze z pół godziny.

BARTŁOMIEJ: Mnie się ta nie spieszy. Mam czas *(spostrzega Fonferkę, który zirytowany tyłem się doń odwraca).* A to kłaniam się pieknie, panie gospodarzu. Pan się frasuje i turbuje, a przepraszam tyz pieknie, czy taki głupi baran wart pańskiej fatygi? *(Fonferko odwraca się jeszcze bardziej).* Ja ino tak z czystego serca mówie... (dobywa fajkę).

WOŹNY: Co to? Nie wiecie, że w sądzie kurzyć nie wolno? Chcecie kurzyć, idźcie na korytarz abo na ulice.

BARTŁOMIEJ: Kiej takie prawo w sądzie, to póde. A zdałoby się tyz jeszcze łyknąć bimbra na ten zgryz.

WOŹNY: Przed rozprawą nie radzę wam zachodzić do szynku. Pan sędzia wygoni was, gdy staniecie przed nim na niepewnych nogach.

BARTŁOMIEJ: Ja ta nie z takich, co im jedna albo dwie kwaterki zaraz zabimbrują głowę. Ostańcie z Bogiem! *(wychodzi).*

FONFERKO: Słyszane to rzeczy! Ten łapserdak śmie jeszcze do mnie gadać! Zarżnął barana, zeżarł go z kościami, a teraz bimbrem będzie go zakrapiał!

WOŹNY: Co se ta bedzie żałował. Tyle jego, co zje i wypije.

FONFERKO: Tfu, takich zbójów tylko przed sąd doraźny stawiać i wieszać na suchej gałęzi!

(Wchodzi adwokat Łatka).

ADWOKAT ŁATKA: Dzień dobry, panie Piskorz.

WOŹNY: Szacuneczek panu mecenasowi.

ŁATKA: Pan sędzia znowu się dziś coś spóźnia...

WOŹNY: Co sie ma spieszyć? Strony nie uciekną. A pan mecenas staje w pierwszej rozprawie o barana?

ŁATKA: A tak. Zastępuję amatora baraniny, Bartłomieja Dyląga.

WOŹNY: On tu już jest. Poszedł do szynku. A to właśnie powód, pan Fonferko.

FONFERKO: *(który od chwili wejścia adwokata, bacznie mu się przyglądał):* Ano, bardzo mi przyjemnie, że pana mecenasa spotykam. Ino się dziwię, że pan mnie nie poznaje. Przecie to pan — w sierpniu łońskiego roku — wziął w moim sklepie w Mościskach ośm łokci samodziału — i ani grosza do dziś dzień od pana nie powąchał.

ŁATKA: Pan się myli, szanowny panie. Nigdy w życiu noga moja nie postała w Mościskach, choć to podobno ładne miasto?

FONFERKO: A niczego miasto. Ale że noga postała, to postała, panie mecenasie. Bo ja mam taką pamięć, że jak raz jakąś gębę zobaczę, już jej nigdy nie zapomnę! A za gębą idą nogi.

ŁATKA: Ależ nie pleć pan nonsensów, panie Fonferko! Pan bierze mnie za kogo innego. Ja nazywam się Łatka, adwokat Łatka, rozumie pan?

FONFERKO: Ja nie mówię, że się pan mecenas nie nazywa Łatka. Ale w sierpniu zeszłego roku, kiedy to pan autobusem z wycieczką przyjechał do Mościsk, to się pan nie nazywał Łatka, ale coś tak jak Ptaszek, Ptaszek lub podobnie... Aha, już wiem: Niedźwiecki! I kazał sobie pan do autobusu zanieść 8 łokci samodziału, a chłopak zaniósł za panem i stał głupi, aż autobus odjechał.

ŁATKA: Dość już tego, panie Fonferko! Powtarzam panu, że nigdy nie byłem w Mościskach i nigdy jakiegoś samodziału od pana nie kupiłem!

FONFERKO: Co racja, to racja. Kupić, toś pan nie kupił, bo, prawdę mówiąc, toś pan zwędził.

ŁATKA *(zaperzony):* Coś pan powiedział? Jak pan śmiesz! Odpowiesz pan za te słowa! Już ja pana nauczę!! Panie Piskorz, pan słyszał, co ten pan powiedział? Biorę pana za świadka!

WOŹNY: Panie mecenasie, odkąd mnie w zimie zawiało, trochem przygłuchł. Na świadka się nie nadaję. Człek ma tyle spraw na głowie, gdzie mu ta za świadka stawać?

ŁATKA: Dobrze, dobrze! Zobaczymy jeszcze! *(woła otwierając drzwi):* Bartłomieju, chodźcie no tu zaraz i nastawcie uszy A pan, panie Fonferko, zechce łaskawie powtórzyć przed tym dobrym człowiekiem, co pan przed chwilką powiedział!

FONFERKO: A gdzież to ten dobry człowiek? Niby ten? — Ano, może on ta i dobry, ale z gęby tego nie widać...

BARTŁOMIEJ: Taką mam gębę, jaką mi Pan Bóg dał. A pana gospodarza niby lepsza?

ŁATKA: Cicho, Bartłomieju! Głos ma pan Fonferko. Bądź pan łaskaw powtórzyć swoje przed chwilą wypowiedziane słowa!

FONFERKO: Nie ma głupich — a pan nie ma tu nic do rozkazywania. Ja już wiem, gdzie mam gadać. Zaraz jutro znajdę sobie adwokata i pogadam o moich ośmiu łokciach samodziału.

ŁATKA: Jakiego samodziału?

FONFERKO: A tego, coś mi pan zwędził łońskiego roku!

ŁATKA triumfująco): Słyszeliście, Bartłomieju?

BARTŁOMIEJ: A dyćem nie głuchy.

ŁATKA: Zapamiętajcie sobie dobrze. Powiedział „zwędził". Powiedział?

BARTOMIEJ: Powiedział.

FONFERKO: Ja ta z cyganami nie bede w komitywie. Poczekam na korytarzu na sędziego.

(Wychodzi wraz z woźnym).

ŁATKA (*do Bartłomieja*): Słyszeliście? Teraz nazwał nas cyganami! Zapiszcie to sobie *(daje mu kartkę papieru).*

BARTŁOMIEJ: Na drukowanym to się wyznam, ale pisanemu nie poradzę. Ręka ciężka od pracy.

ŁATKA: No, to przynajmniej zapiszcie to sobie dobrze w mózgownicy i żebyście mi ani słowa nie zapomnieli. Już ja tego draba ubiorę w taki samodział, że go do końca życia nie zapomni!

BARTŁOMIEJ: Doprasam się tyz łaski pana mecynosa, coby pan dał spokój temu samodziałowi, a naucył przecie biedaka, jak mam do pana sędziego gadać o baranie, com go zarżnął?

ŁATKA: Zarżnęliście barana? W kancelarii mówiliście, żeście nie zarżnęli?

BARTŁOMIEJ: A nie zarżnąłem, rzetelnie mówię.

ŁATKA: A co powiecie sędziemu, jeśli zażąda od was przysięgi, żeście nie zarżnęli?

BARTŁOMIEJ: Panie mecynosie, z tymi baranami to tako sprawa, Jak słońce wypali pastwisko i barany nie mają gdzie trawy skubać, to nie jednemu lepiej, jak się go zarżnie!

ŁATKA: Wiem, wiem. Ale nie chodzi o to, tylko o to, czy będziecie przysięgali, jeśli sędzia tego zażąda?

BARTŁOMIEJ: O głupiego barana będę ta przysięgał?

ŁATKA: Słuchajcie, Bartłomieju. Wy kręcicie, a Fonferko mówi, że gotów przysiądz, iż widział was, jakeście zarzynali barana.

BARTŁOMIEJ: A to łże. Nie mógł mnie widzieć. Noc była ciemna. *(Łatka robi ruch zniecierpliwienia)*. O la Boga, panie mecynosie, ratujcie biedaka! Toć przecie trzy stówki już zapłaciłem w kancelarii, a drugie trzy zapłacę, jak wygram sprawę.

ŁATKA: Mój kochany Bartłomieju! Czy wygracie, czy przegracie, adwokatowi musicie zapłacić. Ale obawiam się, że przegracie. Macie zakutą pałę — i kręcicie jak szewc kopytem. Sędziemu musicie rzecz jasno wyłożyć, żeby wam uwierzył.

BARTŁOMIEJ: Dyć ja wszystko rzetelnie klaruję.

ŁATKA: Baranią macie głowę. Doprawdy, byłoby już lepiej, gdybyście nic nie gadali ino, beczeli jak baran: meee!

BARTŁOMIEJ *(powtarza)*: Mee!

ŁATKA: To jest pomysł. Słuchajcie: nie puśćcie pary z gęby — i na każde pytanie odpowiadajcie: mee! Sędzia pomyśli, że wam brak piątej klepki, że macie kiełbie we łbie — i może da wam spokój. Zrozumieliście?

BARTŁOMIEJ. Mee!

(Wracają woźny i Fonferko).

WOŹNY: Pan sędzia idzie! *(do Fonferka)*: Pan se tu siędzie. *(do Bartłomieja:)* A wy tutaj.

BARTŁOMIEJ: Mee!

WOŹNY: Co mówicie?

BARTŁOMIEJ: Mee!

(Wchodzi sędzia wraz z pisarzem, który (rolą niema) jest chudym, przygarbionym człowiekiem, kaszlącym i zakatarzonym).

SĘDZIA: *(zasiada za stołem, bierze akta do ręki)*: Mateusz Fonferko przeciw Bartłomiejowi Dylągowi — o barana. Pan mecenas zastępuje pozwanego?

ŁATKA: Tak, panie sędzio.

SĘDZIA: Świadek: Katarzyna Wąsikowa.

WOŹNY *(otwiera drzwi na korytarz)*: Pani Wąsikowa! *(świadek wchodzi)*.

SĘDZIA: Pani jest Wąsikowa?

WĄSIKOWA: Tak, proszę wysokiego trybunału, Katarzyna Wąsikowa. A dopraszam się tyż, żeby pan sędzia zaraz mnie przesłuchał, bom ostawiła chore dziecko w domu. Bo ja jestem wdowa, proszę łaski pana sędziego. Już siedem lat temu, jak się mojemu zmarło i ostawił mnie z dzieckiem samiutką jak ten palec na świecie. Nie mogę nic złego powiedzieć; nieboszczyk mąż dobry był człowiek, ino się zapijał co sobota, niech mu tam Pan Bóg nie pamięta...

SĘDZIA: Pani Wąsikowa, czasu mamy mało. Mogę panią przesłuchać pierwszą, żeby pani mogła wrócić do dziecka Nie będę zaprzysięgał pani — za zgodą stron — prawda? ale upominam panią, że winna pani, pod odpowiedzialnością karną — zeznawać prawdę i tylko prawdę. A więc, niech świadek nam powie, jak to było z tym baranem? Pani lubi baraninę?

WĄSIKOWA: Zaśbym ta nie lubiła! Ale musi być upieczona jak się patrzy. Ja się znam na tym, proszę pana sędziego, bo zanim wyszłam za tego pijaka, niech mu tam Pan Bóg daruje — byłam kucharką w mieście i służyłam w najlepszych domach i u pana starosty i u...

SĘDZIA: No dobrze, dobrze. Ale czas jest krótki. Powróćmy do barana. Jak to było z tym baranem?

WĄSIKOWA: Ano, to było tak: Przyszedł do mnie Bartłomiej zrana i niesie dyszek barani i powiada: moja pani Wąsikowo, a to niech pani ten dyszek upiecze na obiad, jak się patrzy. Ja mówię: dobrze i nasoliłam mięso, natarłam czosnkiem, posypałam kminkiem i upiekłam, że palce lizać...

SĘDZIA: Kiedy to było?

WĄSIKOWA: A nazajutrz po tej nocy, kiedy Bartłomiej zarżnął barana.

SĘDZIA: Widziała pani, jak zarzynał?

WĄSIKOWA: Widzieć nie widziałam, ale...

SĘDZIA: Jeśli pani nie widziała, to nie powinna pani mówić: „po tej nocy, jak zarżnął", ale zeznać ściśle: „po tej nocy, kiedy, wedle mojego domniemania, zarżnął barana". Bo jeszcze nie jest udowodnione, że jakiś baran został przez Bartłomieja zarżnięty.

WĄSIKOWA: A dyć musiał go zarżnąć! Z żywego barana dyszka nie wykroił!

SĘDZIA: A kiedy to było?

WĄSIKOWA: A-dy już, proszę łaski pana sędziego powiedziałam: po tej nocy, jak, wedle mojego niedoczekania, zarżnął barana.

SĘDZIA: Pytam się o dokładną datę kalendarzową.

WĄSIKOWA: A cy to ja pamiętam. W piątek to nie było, bo w święty post nie jadłabym przecie mięsa.

SĘDZIA: W którymż to było miesiącu?

WĄSIKOWA: A może w marcu, a może w początku kwietnia, czy ja wiem...

SĘDZIA: Czy pan mecenas ma jakie pytania?

ŁATKA: Nie, panie sędzio.

SĘDZIA: No, to świadek jest wolny. Pani może iść do domu.

WĄSIKOWA *(wychodzi)*: Całuje rączki.

SĘDZIA: Powód: pan Mateusz Fonferko. Proszę nam powiedzieć, jak to było z tym baronem?

FONFERKO *(stając przed stołem)*: Ano, to było tak. Ja, panie sędzio, chowam wyż wymienione owce i barany i pasą się na pastwisku gminnym — a rzeczony Bartłomiej jest pastuchem gminnym. Jeszcze przed dwoma laty zginął mi baran, przepadł jak kamień w wodę — a wyż wymieniony Bartłomiej kręcił i gadał, że to niby cygany go ukradły, ale sam cyganił, bo cygany były, ale dwa tygodnie wcześniej poszły. Więc w tym roku byłem w strachu o moje barany. I raz w marcu wieczorem coś mnie tknęło — i myślę sobie, pójdę pod szopę i zobaczę, co robią moje barany. I poszedłem, stanąłem se cicho pod szopą i patrzę przez dziurę — i widzę, jak Bartłomiej zarzyna barana...

ŁATKA *(znacząco chrząka)* Hm, hm.

FONFERKO: Chrząkaj sobie pan, panie mecenasie, ja tam nie zapomniałem o samodziale!

(Łatka uśmiecha się)

FONFERKO: Śmiej się pan, śmiej, zobaczymy, kto się będzie śmiał na końcu!

SĘDZIA: O czem powód mówi?

FONFERKO: A mówię o pięknym samodziale, co mi go zwędzono i anim grosza za niego jeszcze nie zobaczył. A było go 8 łokci.

SĘDZIA: Nie mogę się zorientować w pańskich zeznaniach. Interesują nas teraz nie produkty baranie jak wełna czy samodział, ale sam baran. Pozostańmy przy baranie. Cóż tedy spostrzegł pan przez dziurę w ścianie szopy?

FONFERKO: Słyszałem, jak Bartłomiej gadał do barana: Chuda z ciebie sztuka, ale człek dziś nie grymasi. A potem zarżnął rzeczonego barana *(spostrzega, że Łatka znowu się uśmiecha)*. Śmiej się pan, panie mecenasie, ale przestaniesz się śmiać, jak będziesz płacił za samodział, któryś mi zwędził w zeszłym roku i wywiózł autobusem.

SĘDZIA *(który nie dosłyszał)*: Zdaje mi się, że powód zeznaje bardzo bałamutnie. Pan twierdzi, że baran został uwędzony i wywieziony autobusem?

FONFERKO: Nie baran, panie sędzio, ale wyż wymieniony samodział.

SĘDZIA: Nie jestem wprawdzie ekspertem w sprawach włókiennictwa i tkactwa, ale nie słyszałem nigdy, żeby samodział wędzono. Bielą go, farbują, ale nie wędzą. Zresztą mniejsza o to. Samodział nas nie interesuje. Interesuje nas baran. Pan twierdzi, że baran został wywieziony samochodem?

FONFERKO: Nie, panie sędzio, nie wyż wymieniony baran, ale ośm łokci samodziału!

SĘDZIA *(zirytowany)*: Proszę pana, pozostaw pan wreszcie w spokoju wszystkie zapewne cenne, ale nie objęte sprawą tekstylia i wróć pan do barana. Naprzód był baran, samodział idzie po baranie.

FONFERKO: Przepraszam pana sędziego, ale w tym wypadku było inaczej. Naprzód idzie samodział, który mi skradziono w sierpniu zeszłego roku.

SĘDZIA: Stwierdzam rażącą sprzeczność między zeznaniami świadka Katarzyny Wąsikowej a wywodami pana powoda. Katarzyna Wąsikowa nie potrafiła wprawdzie określić ściśle daty, zeznała jednak że upiekła dyszek barani w marcu lub w początku kwie-

nia bieżącego roku. Powód zaś opowiada o fakcie, który zaszedł w sierpniu ubiegłego roku. Jak pogodzić te sprzeczności?

ŁATKA: Czy pozwoli pan sędzia, żebym zadał panu powodowi kilka pytań, które rzucą światło w zakamarki tej zaiste osobliwej sprawy?

SĘDZIA: Proszę pytać.

ŁATKA *(do Fonferki):* Pan powiedział przed chwilą, że pan widział, jak Bartłomiej Dyląg zarzynał barana w nocy z 27-go na 28-go marca?

FONFERKO: A tak. Widziałem.

ŁATKA: O której to było godzinie?

FONFERKO: O dziewiątej.

ŁATKA: Czy świecił wtedy księżyc?

FONFERKO: Nie.

ŁATKA: Czy pan miał latarkę ze sobą?

FONFERKO: Nie.

ŁATKA: Co to za nóż był, którym Bartłomiej zarzynał barana? Krótki? Długi?

FONFERKO: Noża nie widziałem.

ŁATKA: Pan nie widział noża? A dlaczego?

FONFERKO: Noc była ciemna.

ŁATKA: Aha. Noc była tak ciemna, że pan nie mógł dostrzec noża, ale pan widział jak Bartłomiej zarzynał barana?

FONFERKO: Ja słyszałem, jak gadał do barana, że go zarznie na pieczeń, a potem słyszałem, jak biedne zwierzę beczało żałośliwie i wyrywało się i na końcu kwiknęło — i potem zaraz wszystko ucichło.

ŁATKA: A więc faktycznie nie widział pan, jak Bartłomiej zarzynał barana, lecz pan słyszał, jak zarzynał?

FONFERKO: Słyszałem, jak zarzynał.

ŁATKA: Pan słyszał jakieś dźwięki — i pan wnioskował, panu się zdawało, że te dźwięki pochodzą od zarzynanego barana?

FONFERKO *(ze złością):* Słyszałem, jak zarzynał.

ŁATKA: Rozumiem. Więc pan przyznaje, że pan nie widział jak zarzynał?

FONFERKO: Słyszałem, jak zarzynał.

ŁATKA: Doskonale. A teraz jako hodowca baranów, a więc fachowiec, zechce pan nas objaśnić, czy baran nie beczy i nie wyrywa się, jeśli mu np. daje się lekarstwo?

FONFERKO: Ano, może.

ŁATKA: A więc szamotanie się barana i jego bek nie muszą być koniecznie skutkiem procedury zarzynania?

FONFERKO: E, co tu będę w kółko z panem gadał! Słyszałem, jak Bartłomiej zarzynał barana.

ŁATKA: Doskonale. A teraz pozwolę sobie zwrócić uwagę panu sędziemu na dziwne szczegóły w zeznaniach pana powoda, mianowicie, że baran został w sierpniu uwędzony i wywieziony autobusem i że jego skóra mierzyła aż 8 łokci, niewiadomo czy wszerz czy wzdłuż!

FONFERKO: Mnie tam wszystko jedno, co pan tu bajtluje, panie mecenasie, czy się pan nazywa Łatka czy Niedźwiedzki, ja powiadam ino, żeś mi pan zwędził 8 łokci samodziału w sierpniu zeszłego roku.

ŁATKA: Dziękuję panu. Ja już nie mam więcej pytań. Proszę tylko, aby pan sędzia polecił panu pisarzowi Guzikowskiemu zanotować w protokole dokładnie ostatnie słowa pana powoda.

SĘDZIA: Dobrze. Ja także nie mam już pytań i przystąpimy do przesłuchania pozwanego.

(Woźny popycha Bartłomieja przed stół sędziego.)

SĘDZIA: Wyście Bartłomiej Dyląg?

BARTŁOMIEJ: Mee!

SĘDZIA: Coście powiedzieli?

BARTŁOMIEJ: Mee!

SĘDZIA *(do Łatki):* Czy ten człowiek jest niespełna rozumu czy pijany?

ŁATKA: Proszę pana sędziego. Bartłomiej Dyląg, to człowiek prosty, Bogu ducha winien, o rzadkiej w naszych czasach poczciwości, który tak sobie wziął do serca skargę o barana, że mu się pokręciło w głowie. Przestał jeść, przestał pić, chodzi całymi dniami otumaniony i zdaje mu się, że jest baranem.

SĘDZIA: W tej sprawie wszystko jest dosyć dziwne. Ale może pan będzie szczęśliwszy w zadawaniu pytań temu, jak pan mówi, poczciwcowi?

ŁATKA: Słuchajcie, Bartłomieju! Powiedzcie nam — nie bójcie się niczego — czyście zarżnęli barana pana Fonferki, czyście nie zarżnęli?

BARTŁOMIEJ: Mee!

ŁATKA: Czy nie rozumiecie, o co się was pytam?

BARTŁOMIEJ: Mee!

ŁATKA: Zdaje mi się, panie sędzio, że nic z niego wydobyć się nie da.

SĘDZIA: I ja tak sądzę. Ten człowiek, zdaniem pana mecenasa, jest poczciwcem, którego siły umysłowe trochę ucierpiały. Być może, ale być też może, że sprawa się ma inaczej. Ale czas jest krótki — i nie starczy go nam na rozwikłania wszystkich niejasności i niepewności w tej sprawie. Twierdzenia p. powoda był nieścisłe, a jedyny świadek Wąsikowa zeznała, że przyrządziła i jadła pieczeń baranią, ale daty nie umiała określić. Powód nie widział, jak barana zarżnięto, słyszał tylko dźwięki, które można rozmaicie tłumaczyć. Wobec braku dowodów zamykam rozprawę, oddalam skargę p. powoda, który poniesie koszta. Zarządzam pauzę dziesięciominutową.

(Sędzia z pisarzem i woźnym wychodzą.)

FONFERKO *(do Łatki):* Pan usłyszy jeszcze o samodziale.

ŁATKA: Doskonale, panie Fonferko. Do zobaczenia w sądzie karnym! Świadkowie dobrze sobie zapamiętali słowa pańskie.

FONFERKO: O jednego świadka ma pan mniej! *(ironicznie)* To przecie baran który tylko beczeć potrafi. *(wychodzi)*

ŁATKA *(do Bartłomieja):* No Bartłomieju, wybornie poszło. Wygraliście sprawę. Cieszycie się?

BARTŁOMIEJ: Mee!

ŁATKA: Brawo, brawo. Oczywiście dobrze, jeśli jeszcze przez parę dni będziecie beczeli. No, ale teraz zapłaćcie resztę honorarium. Chcecie pokwitowania?

BARTŁOMIEJ: Mee!

ŁATKA: No, już dość tych figlów. Czas jest krótki, jak mówi pan sędzia. Zapłaćcie i idziemy do domu.

BARTŁOMIEJ: Mee!

(Idzie ku drzwiom — a w izbie pozostaje sam adwokat, który patrzy zdumiony, jak Bartłomiej za sobą drzwi zamyka.)

Ludwik Szczepański

ADAM WŁODEK i TADEUSZ KUBIAK

Piosenka cioci-plotkarki

(Melodia: „Świr, świr, świr, za kominem").

Siedź, siedź, siedź za kominem
i pocieszaj się Londynem,
a gdy wiatr zawieje ostro,
zadumaj się i nad Moskwą...

Co mi komunikat TASS-a,
wiem kto bierze, wiem kto hasa,
co mi też PAP, sterty gazet,
wiem co w trawie piszczy nawet...

Tak, tak, tak, zza komina
lepiej... głowy nie wypinaj.
Nie śniło się reporterom
na co się na świecie zbiera.
Ponoć jakieś tam atomy
porozbijać mają domy,
a parasol Chamberlain'a
znów nad Anglią się otwiera...

I tym właśnie parasolem
mają Moskwę wywieść w pole,
bo na wierzchu niby kreton
a pod spodem zaś — żelbeton!

A gdyby miał przyjść już koniec,
na nim jak na spadochronie —
całą wyspę (plan to dziki)
mają przewieźć do Afryki...

Aktywiści świetlicowi obradują

Konferencja kierowników świetlic Przemysłu Budowlanego w Goleszowie (Śląsk Cieszyński).

W dniu 30 ub. m. odbyła się konferencja kierowników świetlic i DK, podległych Zw. Zaw. Robotników i Pracowników Przemysłu Budowlanego z terenu Województwa Śląsko-Dąbrowskiego, z udziałem przedstawiciela Zarządu Głównego Zw. Zaw., ob. mgr. Swobody, kierownika Wydziału Kult.-Ośw. Okręgu, delegata Woj. Urzędu Inf. i Prop., wicedyrektora Fabryki Cementu i innych.

Po powitaniu przybyłych przez kierownika miejscowej świetlicy, ob. Wałaskiego, zabrał głos delegat Zarządu Głównego, mgr. Swoboda, charakteryzując rozwój prac świetlicowych na terenie Województwa, podkreślając z zadowoleniem, że Okręg Katowicki przoduje w zakresie prac kulturalno-oświatowych. Pochwała ta nie znaczy, aby świetlice, których rozwój daje gwarancję podniesienia poziomu kulturalnego robotnika, miały spocząć na laurach lecz przeciwnie — winna zachęcić wszystkich do wzmożenia prac i uaktywnienia świetlic celem postawienia ich na jak największym poziomie, jako placówek kulturalnych i wychowawczych.

Ogłoszony przez Zarząd Główny konkurs ochotniczych zespołów świetlicowych winien stanowić pewnego rodzaju wyścig dobrze pojętej konkurencji celem ożywienia i podniesienia zespołów świetlicowych.

Zebranych zapoznano dokładnie z regulaminem konkursu, apelując do jaknajliczniejszego udziału w tych rozgrywkach o palmę pierwszeństwa wśród świetlic całej Polski.

W dalszych punktach obrad poruszono sprawę umasowienia świetlic przez wciąganie najszerszych mas robotniczych do życia świetlicowego drogą zainteresowania ich odpowiednio dobranym, urozmaiconym repertuarem świetlicowym. Im więcej będzie robotników w świetlicy jako stałych bywalców, tym lepiej świetlica spełni zadanie, do którego została powołana.

Dla świetlic Przemysłu Budowlanego będzie udzielał stałych subwencji Zarząd Główny Zw. Zaw. na wniosek Zarządu Świetlicy, poparty przez Wydział Kult.-Ośw. Okręgu pod warunkiem, że świetlica odwrotnie nadeśle pokwitowanie odbioru. Prawo do otrzymywania subwencji mają tylko te świetlice, które nadsyłają sprawozdania łącznie z rozliczeniami, podają preliminarz budżetowy i są zarejestrowane w Oddziałach Zw. Prac. i Rob. Budowlanych.

Kierownicy świetlic zgodnie oświadczyli że dołożą wszelkich starań, aby stworzyć ze świetlic prawdziwe ośrodki życia kulturalnego i społecznego, zamieniając je na szkoły wychowania obywatelskiego w duchu demokratycznej Polski Ludowej.

Edmund Całka

KĄCIK SZACHOWY

GAMBIT DAMY

Gambit damy zalicza się oczywiście do partii zamkniętych, a jednak nie pozbawiony jest zarazem charakteru partii gambitowych, przypominających niekiedy aż do złudzenia tempo gry w partiach otwartych. Oto jeden z najlepszych przykładów, w którym białe już w 16-tym posunięciu (a więc błyskawicznie jak na grę zamkniętą) zwyciężają!

Gambit damy

Białe: Marschall **Czarne: Kline**

1. d2—d4 d7—d5
2. c2—c4 e7—e6
3. Sb1—c3 Sg8—f6
4. Sg1—f3 Gf8—e7
5. Gc1—g5 Sb8—d7
6. e2—e3 0—0
7. Wa1—c1 b7—b6
8. c4×d5 e6×d5
9. Dd1—a4! doskonałe posunięcie pozycyjne!
9. ... Gc8—b7
10. Gf1—a6 Gb7×a6
11. Da4×a6 c7—c6
12. 0—0 Sf6—e4
13. Gg5×e7 Dd8×e7
14. Da6—b7 Wf8—c8
15. Gc3×d5 De7—d6
16. Wc1×c6!! Czarne się poddały.

II

Początek nieprawidłowy

Są niektórzy „szachiści" t. zw. amatorzy, którzy nie znają w ogóle teorii szachowej, lecz są również tacy, którzy **nie uznają teoretycznych rozbiorów** poszczególnych partii, a próbują szczęścia grając zupełnie nieprawidłowo nawet przeciw mistrzom na turniejach. — Miewają oni niekiedy powodzenie, lecz bardzo rzadko, albowiem nie może być nic doskonalszego nad teorię szachową, której coraz to nowe wynalazki mają już swe głębokie doświadczenie i sięgają partii mistrzowskich po przez stulecia. — Jednakże w bardziej interesujące początki nieprawidłowe teoria stara się wglądać, by podciągnąć je pod właściwą „tonację". — Do jednej z takich gier należy np. t. zw. partia angielska, którą podajemy niżej.

Początek nieprawidłowy czyli partia angielska.

Białe: Zuckertort **Czarne: Blackburne**

1. c2—c4, e7—e6 2. e2—e3, Sg8—f6 3. Sg1—f3, b7—b6 4. Gf1—e2, Gc8—b7 5. 0—0, d7—d5 6. d2—d4, Gf8—d6 7. Sb1—c3, 0—0 8. b2—b3, Sb8—d7 9. Gc1—b2, Dd8—e7 10. Sc3—b5, Sf6—e4 11. Sb5×d6, c7×d6 (białe wymieniły swego mało pożytecznego skoczka na gońca czarnych, który zajmował b. ważne stanowisko). 12. Sf3—d2, Sd7—f6 13. f2—f3, Se4×d2 14. Dd1×d2, d5×c4 15. Ge2×c4, d6—d5 16. Gc4—d3, Wf8—c8 (Czarne zajmują wieżą linię otwartą, ażeby uzyskać przewagę pozycyjną na skrzydle królowej. Uparte trzymanie się tego planu spowodowało przegraną). 17. Wa1—e1, Wc8—c7 18. e3—e4, Wa8—c8 19. e4—e5, Sf6—e8 20. f3—f4, g7—g6 21. We1—e3! (początek świetnej kombinacji, na której oparty jest cały atak białych). 21. ... f7—f5 22. e5×f6, Se8×f6 23. f4—f5, Sf6—e4 24. Gd3×e4, d5×e4 25. f5×g6, Wc7—c2 (Sądząc z pozorów, czarne powinny zyskać figurę, jest to jednak tylko złudzenie, co wykazuje dalsza genialna gra białych). 26. g6×h7+, Kg8—h 27. d4—d5+, e6—e5 28. Dd2—b4!! (niespodziewane, wspaniałe zaofiarowanie królowej). 28.... Wc8—c5 (Jeśli czarne zabiją królowę dostaną mata najdalej w siódmym posunięciu przez: Gb2×e5+, We3—h3+ etc.). 29. Wf1—f8!! (Ta sama kombinacja, co z poprzednim zaofiarowaniem królowej, gdyż białe wygrają zawsze, szachując gońcem na e5). 29.... Kh8×h7 30. Db4×e4+, Kh7—g7 31. Gb2×e5+, Kg7×f8 32 Ge5—g7+ i mat.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

DOPEŁNIANKA.

— — x ł a d
— — — x a t
— — — x q n a
— — x t
— — x y r
— — x m a t
— — x p a
— — x m a t
— — x a
— — x m b
— — x k
— x n
— — x e c

W miejsce kresek i iksów wstawić odpowiednie litery, które w połączeniu z znajdującymi się, mają utworzyć (w rządkach poziomych) znane wszystkich wyrazy, których znaczenia celowo nie podajemy: w bezbłędnym rozwiązaniu litery w pionowym rzędzie oznaczonym „x" dadzą ostateczne rozwiązanie.

Ilość poszczególnych liter, którymi należy uzupełnić wyrazy: a — 5, i — 1, k — 4, l — 3, ł — 1, m — 1, o — 2, p — 5, r — 4, s — 1.

ROZWIĄZANIA z N-RU 19

ARYTMOGRAF

Szkło i fortuna jeden przymiot mają:
Świecą się w oczach a niedługo trwają.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA

„Zazdrosny podobny jest żelazu, które się własną rdzą trawi".

Antistenes.

WYDAWNICTWA I KSIĄŻKI NADESŁANE:

Poradnik Pracownika Społecznego — Dwutygodnik Nr. 18 (32) 1—15 grudnia, Warszawa 1946. — Wydawca: Ministerstwo Informacji i Propagandy. Redaguje Komitet Redakcyjny.

Przewodnik Wychowania Spółdzielczego w szkole. — Miesięcznik Rok I. (VI). Nr. 2, Warszawa. październik 1946. Wydawca: Związek Rew. Spółdz. R. P. Wydział Społeczno-Wychowawczy.

Biuletyn Księgarstwa Spółdzielczego — Miesięcznik. Rok I. Nr. 1—2, Warszawa, Październik-Listopad 1946. Wydawca: Związek Rewizyjny Spółdzielni. R. P.

— Do pastorałek w opr. J. Swatonia w nr. 23 wkradły się następujące pomyłki, a mianowicie: w pastorałce **„Hej, hej, hej"** w basie, w miejsce pauz w takcie 4, 5 i 6 powinien być powtórzony takt trzeci. W pastorałce **„A spis Bartek"** — we wtórze kapeli I, II skrzypce i bas w takcie czwartym zamiast pauzy grać powinno to samo co w trzecim, również w piątym bas grać musi to samo, zaś takty siódmy i ósmy cała kapela musi powtórzyć. W 10 takcie klarnet grać ma „g", a nie „h". Natomiast cztery ostatnie takty należy potraktować jako przygrywkę.

Organ Wojew. Domu Kultury w Krakowie Redaguje zespół Adres redakcji: Kraków Dunajewskiego 1, II. piętro, telefon 565 58
Drukarnia 1. pod Zarządem Państwowym Kraków Wielopole 1. M—01396